TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV Nr 8 (156)
Łódź, 26-II. 1961 r.
cena 1 zł

odgłosy

Mieszanka filmowa na str. 3

Aktor francuski Serge Merlin odtwórca postaci Jakuba w filmie „Samson" reż. Andrzeja Wajdy. Operator J. Wójcik
Fot.: W. Rozmysłowicz

Zrezygnowane MIASTO?

O Brzezinach na str. 5 pisze KAROL BADZIAK

Fot. H. Powierża

JACEK LEBEN

KONGO – i co dalej?

Zamordowanie premiera Lumumby i jego towarzyszy wstrząsnęło opinią społeczną do tego stopnia, że stało się zupełnie jasne: stan chaosu i bezkarności spowodowany bezczynnością ONZ musi się skończyć. Uznanie przez 22 państwa rządu Gizengi, wicepremiera w rządzie Lumumby i kontynuatora jego dzieła, za legalny rząd Konga stwarza przecież zupełnie nową sytuację polityczną w tym kraju. Nie przecież nie może w tej chwili przeszkodzić krajom uznającym rząd Gizengi w udzieleniu mu wszechstronnej pomocy. Powstała wspólna płaszczyzna działania krajów socjalistycznych i szeregu neutralnych krajów. Rząd Gizengi poza krajami socjalistycznymi uznały rządy Jugosławii, Zjednoczonej Republiki Arabskiej, Gwinei, Ghany, Indonezji, Maroka i Mali. Tak więc grupa najbardziej dynamicznych krajów neutralnych zajmuje w tej kwestii stanowisko antyimperialistyczne. Oczywiście trudno w tej chwili przewidywać dalsze konsekwencje kongijskich wydarzeń, ale wydaje mi się, że działalność zupełnie skompromitowanych sił ONZ w tym kraju będzie musiała zostać w przyszłości zastąpiona przez solidarną działalność postępowych krajów Afryki, gotowych do udzielenia pomocy i stworzenia wspólnego dowództwa wojskowego krajów Afryki.

Muszę w tym miejscu przytoczyć niesłychanie charakterystyczny głos brytyjskiego pisma „Economist", które ostrzega, że śmierć Lumumby umocni Gizengę. „Już w chwili obecnej, stwier

(Dalszy ciąg na str. 2)

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER

Granice świata

Zakreślony własnym nosem
Mikrokosmos jest kosmosem.

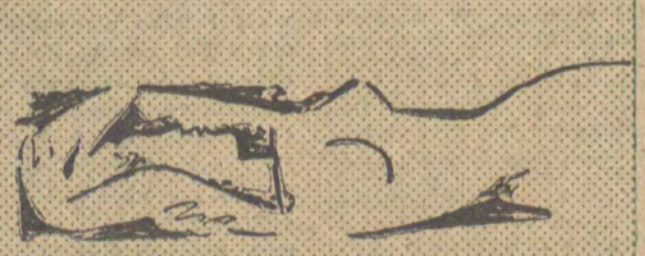

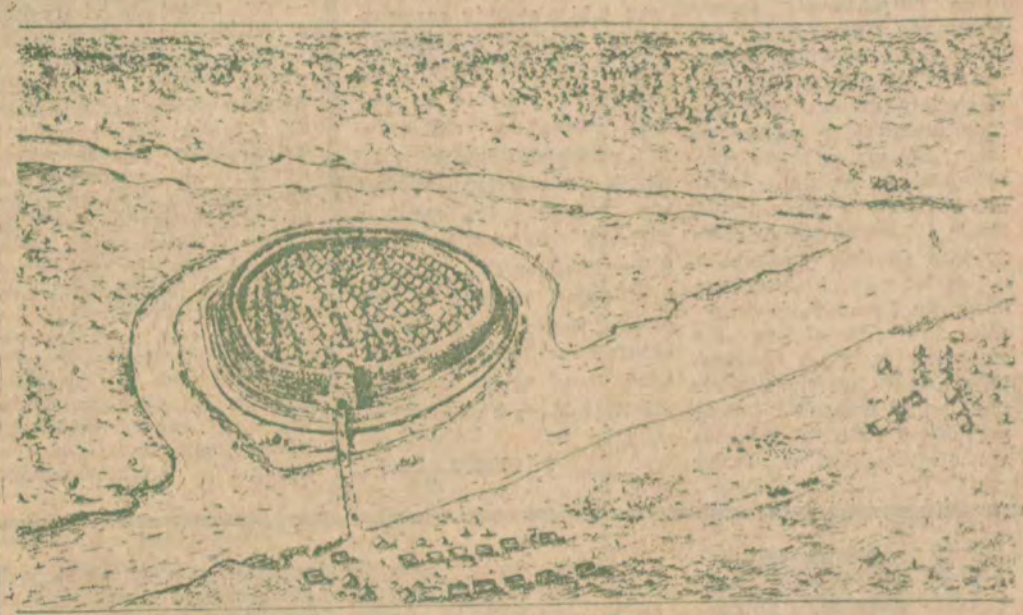

Wczesnośredniowieczne miasto na Ostrówku — próba rekonstrukcji

OPOLSKIE – ZAWSZE POLSKIE

str. 4

ODGŁOSY tygodnia

Mechanizacja administracji

Składasz, obywatelu, podanie do któregoś z urzędów rad narodowych. Składasz i czekasz. Czekasz na decyzję odpowiednich osób. Powiedzmy, że osoby te zadecydują szybko (co nader rzadko się zdarza). Ale od podjęcia decyzji do wydania Ci do rąk odpowiedniego dokumentu jeszcze daleko. Musi być napisany i przepisany na maszynie. Hale maszyn są owym uchem igielnym, przez które musi się przecisnąć Twój papierek. O tym, że uchowo jest diablo ciasne, wiesz z własnego doświadczenia, ale i wiedzą też bogu ducha winni a przeklinani przez Cię urzędnicy.

Bowiem sytuacja w naszych biurach wygląda tak, że urzędnik czeka na maszynę, a nie odwrotnie.

Wynikające stąd, subiektywnie odczuwane udręki petentów i urzędników znalazły obiektywne potwierdzenie w inwentaryzacji i analizie „parku maszynowego" agend rad narodowych, przeprowadzonej przez [illegible] Komisję Usprawnień Administracji Publicznej.

Z opracowania tego wynika, że stopień mechanizacji pracy biurowej w Łodzi jest bardzo średni, to znaczy dwa razy niższy niż za granicą (w krajach wysoko uprzemysłowionych), ale za to dwa razy wyższy niż w kraju.

Dla przykładu. Na jedną maszynę do pisania w biurze zagranicznym przypada 3,2 urzędników, w Polsce 11,4 a w Łodzi 5,7. Z tym, że tak dobrze jest tylko w agendach Prezydium RN m. Łodzi. W agendach dzielnicowych „zagęszczenie" pracowników umysłowych na 1 maszynę do pisania jest większe i bliższe średniej krajowej.

W zakresie maszyn do liczenia: w Prez. RN w Łodzi przypada na jedną maszynę 8,5 pracowników, za granicą — 5,5, w kraju 10,8, w agendach dzielnicowych 13,2, czyli więcej niż średnia krajowa.

Wnioski są proste. Primo: niekroć porównawczo nieprawdopodobnie nasza administracja ze sprawnością zagranicznej pamiętaj o naszym zacofaniu w dziedzinie mechanizacji pracy biurowej. Na dokładkę — nie mamy rodzimej produkcji maszyn biurowych. Secundo: nadzieję na załatwianie Twoich podań „od ręki" wiąż nie tylko z dalszą decentralizacją decyzji, ale również z niezbędną mechanizacją naszej administracji, która bywa czasami mechaniczna, ale w zgoła niepożądanym znaczeniu.

Ciąg dalszy str. 12

KONGO – i co dalej?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

dza „Economist" oddziały zbrojne Gizengi kontrolują połowę terytorium Konga i chociaż Czombe i Kasavubu razem wzięci są, być może, silniejsi to jednak terytoria kontrolowane przez nich nie graniczą ze sobą, a poza tym ciąży na nich piętno współpracy z kolonialistami, co prawdopodobnie okaże się dla nich fatalne. Czombe stracił najmniejsze nawet szanse, jakie posiadał na uznanie jego separatystycznego państwa przez inne kraje. Kasavubu znajduje się prawie w tej samej sytuacji. Krótko mówiąc, morderstwo Lumumby jest śmiertelnym ciosem dla umiarkowanych elementów w Kongo i w Afryce w ogóle. Śmierć Lumumby w żadnym wypadku nie jest sukcesem dla Zachodu jak to mogą wyobrażać sobie niektórzy omamieni ludzie niepełni rozumu w Brukseli i Paryżu."

Charakterystyczne jest zakończenie wywodów „Economist". Pismo przyznaje, że są koła na Zachodzie, które potraktowały śmierć Lumumby z ulgą. Był to bowiem jak pisał kilka dni temu „Wall Street Journal" wspaniały mówca wywierający fascynujący wpływ na masy. Nie ma, zdaniem amerykańskiego tygodnika, nikogo, kto mógłby go zastąpić. Rację jednak przyznać należy tym pismom zachodnim, a jest ich sporo, które stwierdzają, że Lumumba-męczennik jest groźniejszy dla swoich wrogów niż Lumumba-premier. Jak by bowiem nie była bolesna śmierć przywódcy to ruch narodowo-wyzwoleńczy w czasie swojego wzlotu, a tak przecież dzieje się w Kongo, wyłania nowych ludzi.

Największą uwagę światowej opinii publicznej przykuwają dwa problemy biorące swój początek w kongijskich wydarzeniach. A więc radzieckie dążenie do zmiany struktury ONZ i kwestia stosunków amerykańsko-radzieckich.

I znów pragnę przytoczyć głosy prorządowego dziennika szwedzkiego „Stocholms Tidningen", który pisze w związku z oświadczeniem rządu radzieckiego w sprawie zamordowania Lumumby i żądania dymisji Hammarskjoelda: „Wszystko wskazuje na to, że jest to jedynie kwestia czasu ustąpienie Hammarskjoelda ze stanowiska sekretarza w ONZ... Przebieg wydarzeń wskazuje, że Hammarskjoeld powinien energicznie wystąpić przeciwko Czombemu i konspiracjom belgijskim w Kongo... W każdym bądź razie nie do pomyślenia jest, aby ktokolwiek mógł zaprotestować, gdyby Hammarskjoeld zarządził ochronę życia Lumumby przez wojska ONZ. Scena na lotnisku, gdy Lumumba był okrutnie poniewierany—jest jednym z najbardziej haniebnych wspomnień."

Po stwierdzeniu iż wojska ONZ w Kongo są za słabe dziennik pisze: „Wojska te najlepiej zrobią, jeśli ewakuują się z Konga i pozostawią sprawy kongijskie Kongijczykom."

Pisałem w swoim czasie, iż nie ma i nie może być polityków obiektywnych. Dag Hammarskjoeld przez wiele lat starał się być obiektywny i to była jego zasługa, ale w Kongo Hammarskjoeld nie starał się być obiektywny. Jego machinacje w tym kraju służyły bezpośrednio utrzymaniu pozycji mocarstw zachodnich. Hammarskjoeld będzie musiał ustąpić mimo taktyki Zachodu, która polega na utożsamianiu Hammarskjoelda z samą Organizacją Narodów Zjednoczonych.

W jakim stopniu rozgrywka o Kongo i o przyszłość Organizacji Narodów Zjednoczonych wpłynie na rozwój stosunków radziecko-amerykańskich trudno w tej chwili przewidzieć. Wydaje się jednak, że zarówno Związek Radziecki jak i Stany Zjednoczone nie uczyniły dotąd niczego co mogłoby, mimo dramatycznej sytuacji w świecie, zatrzasnąć drzwi przed rozmowami Wschód — Zachód.

JACEK LEBEN

OBYŚMY WSPÓLNIE ODETCHNĘLI (VII)

Czyżby „niemożność" wychowawcza szkoły?

EDMUND SAS

Zamierzam nawiązać do głosu ob. Mieczysława Woźniakowskiego, kuratora Okręgu Szkolnego m. Łodzi, który w numerze 7-mym „Odgłosów", polemizuje z ob. Anną Smolik, przeciwstawiając się jej twierdzeniu, że szkoła wykazuje „totalną niemożność" w zakresie wychowania.

Chciałbym na wstępie powiedzieć że gdyby tak było naprawdę, to wielu z nas nauczycieli, którzy w tej chwili działają wydajnie na niwie szkolnictwa, nie chciałoby pracować w tym trudnym zawodzie. To przecież nasza wiara w możliwości wychowania dzieci i młodzieży daje nam siły do ciężkiej pracy. To przecież rozprawa Jana Władysława Dawida „O duszy nauczycielstwa" od 1912 r. zapala w sercach zarówno kandydatów do zawodu nauczycielskiego jak również czynnych nauczycieli, zamiłowanie do pracy z dziećmi, bo afirmuje w nich wewnętrzną potrzebę „udzielania swoich i uczestniczenia w cudzych stanach duchowych", bo utrwala w nich świadomość, że istotą nauczycielskiego powołania jest „miłość dusz ludzkich", że dla nauczyciela jeśli nawet nie jest wolny od miłości własnej, ambicji, pobudkę główna jest sam uczeń, celem... trwałe i głębokie oddziaływanie i urobienie jego wewnętrznej istoty, przekonania, woli".

Tak rozumiemy swą działalność w szkole my nauczyciele. Od wstąpienia do liceum pedagogicznego aż do ostatnich dni naszej pracy w szkole uczymy się wychowywać dzieci i młodzież. Wpatrujemy się we wzory wielkich pedagogów na przestrzeni wielu stuleci, w różnych krajach kuli ziemskiej, wśród licznych narodów. Porównujemy ich zamierzenia i cele wychowawcze z potrzebami nowymi, dzisiejszymi narastającymi tak prędko, jak szybko rozwija się człowiek nowych wieków, jak szybko dojrzewa ludzkość — w szczególności narody obozu pokoju.

Nie wolno nam mówić o niemocy szkoły w zakresie wychowania dzieci i młodzieży. Któż lepiej niż my czynność tę potrafi wykonywać, któż bardziej niż my jest do tej działalności przygotowany tak od strony teoretycznej jak również praktycznej. Toż to na nas są zwrócone oczy całego społeczeństwa, to przecież nas uważają rodzice za wszechwiedzących w zakresie wychowania dziecka. Mielibyśmy sprawić im zawód stwierdzeniem niemożności oddziaływania wychowawczego szkoły na dzieci i młodzież?

I nasze zamiłowania do pracy w zawodzie nauczycielskim i nasze przygotowanie w zakresie pedagogiki, zaufanie do nas rodziców oraz całego społeczeństwa nie pozwalają na żadne zwątpienia, nie dają podstaw do rezygnacji z najważniejszych zadań nauczyciela wobec ucznia.

Czy wobec powyższego sama szkoła jest w stanie wychować dzieci i młodzież? Z pewnością nie.

Dziecko jest poddane nie tylko wpływom wychowawczym ze strony szkoły, ale, i to przede wszystkim, wpływom rodziny — rodziców, rodzeństwa i dalszych krewnych. Na dziecko oddziałuje wychowawczo dodatnio względnie ujemnie społeczeństwo — albo powiedzmy lepiej, pewne środowiska społeczne, wśród których dziecko w czasie pozalekcyjnym i pozaszkolnym przebywa. Choćby tylko proporcja czasu przebywania dziecka w ciągu dnia w szkole i czasu pozostawania w ciągu dnia poza szkołą przekonuje nas o tym, że szkoła nie może rościć sobie pretensji do wyłączności w wychowaniu dzieci — ani nawet do tego, że wpływ wychowawczy szkoły na dziecko jest przeważający.

Bardzo różnie wygląda stosunek rozmiaru wpływów na dziecko: szkoły, rodziców albo powiedzmy raczej, domu oraz społeczeństwa — czy w węższym sensie środowiska, w którym dziecko poza szkołą przebywa.

Jest bardzo wiele współczynników wpływających na to, jak przebiega proces wychowania dziecka w szkole. I w tej instytucji wychowawczej proces wychowania wygląda różnie w różnych szkołach. Na dziecko wywiera wpływ nie tylko sam nauczyciel, ale również jego rówieśnicy w klasie i organizacje szkolne, do których dziecko należy.

Wypadkowa tych różnorodnych oddziaływań wychowawczych w samej tylko szkole będzie — jak z powyższego łatwo zauważyć — bardzo różna co do ilości i co do jakości.

Podobnie wygląda sytuacja na odcinku wychowania w domu rodzicielskim.

Bo przecież w domu rodzicielskim extrema dodatniego względnie ujemnego oddziaływania wychowawczego na dziecko są bardziej nieporównanie odległe niż takież extrema wychowawcze w szkole. Chociaż bowiem w różnych szkołach niejednakowo pomyślnie przebiega proces wychowania dziecka, to jednak przecież żadna szkoła nie demoralizuje dziecka. Wychowanie dziecka w szkole daje w końcu zawsze efekt pozytywny.

Tego jednak nie da się w każdym przypadku powiedzieć o wychowaniu w domu. Trafiają się i takie sytuacje, że dziecko wynosi z domu wyniki ujemne pod względem wychowawczym. Trafiają się np. przypadki, że rodzice nastawiają dziecko niechętnie do wypowiedzi najlepszych nauczycieli ze względów czysto politycznych. Pomijam już przypadki pijaństwa w rodzinie, nabywania w domu przez dziecko skłonności do kłamania, kradzieży itp. i najtrudniejsze przypadki obserwowania przez dziecko w domu — rozkładu rodziny. Opisywano je już wcześniej w „Odgłosach".

Z powyższego wynika, że efekty wychowawcze w domu są bardzo różne — od wysoce pozytywnych do skrajnie ujemnych. Tak jedne jak drugie różnią się znowu oczywiście również pod względem ilościowym.

Dochodzą wpływy wychowawcze środowiska, w którym dziecko poza szkołą przebywa. Również te ostatnie różnią się zarówno pod względem ilościowym jak też jakościowym. Wychowanie dziecka jest wypadkową tych wszystkich bardzo różnorodnych ilościowo i jakościowo oddziaływań wychowawczych.

Szkoła ma ogromne zadania wychowawcze nie tylko w stosunku bezpośrednim do dziecka podczas jego przebywania w szkole, ale również w stosunku do jego rodziców. Dlatego tak bardzo zasadniczą jest sprawa właściwego doboru składu Komitetu Rodzicielskiego. Kierownik — dyrektor szkoły, wychowawcy klasowi i rady pedagogiczne szkół wespół z członkami komitetów rodzicielskich pracują bezpośrednio nad wychowaniem dzieci w szkole i nad wychowywaniem, pedagogizacją wszystkich rodziców uczniów szkoły. Wykorzystują wszystkie kontakty z rodzicami — wywiadówki szkolne, plenarne zebrania rodziców i zebrania klasowe rodziców.

Od niedawna szkoła zaczęła coraz bardziej sięgać również do specjalnego rodzaju społecznego wychowania dziecka. Odbywa się to wychowanie społeczne nie na byle jakim gruncie, nie w jakimkolwiek miejscu i nie w przypadkowym środowisku.

Zaczęliśmy wprowadzać młodzież do zakładów pracy, aby tam przy warsztatach fabrycznych w środowisku robotniczym, pod kierunkiem człowieka pracy fizycznej przyzwyczajała się do pracy, przygotowywała się do praktycznej działalności, wytwarzała w sobie nawyki i zamiłowania do wytwarzania wartości użytecznych dla ludzi. Wprowadzamy w ten sposób nowy środek, nowe elementy wszechstronnego rozwoju człowieka, uczymy młodzież szacunku do człowieka pracującego fizycznie. W tej chwili 12 klas ósmych liceów ogólnokształcących w województwie łódzkim w ciągu jednego dnia w tygodniu wychowuje się w zakładach produkcyjnych przez prace pod okiem załóg robotniczych.

Widać z tego, że szkoła jest instytucją par excellence wychowawczą, bo nie tylko bezpośrednio dzieci wychowuje, ale inicjuje wychowanie rodziców i społeczeństwa oraz eksperymentuje nowe, lepsze sposoby wychowywania.

VII Plenum wytyczyło kierunki reformy szkolnej, wśród których ważne miejsce zajmują wskazania odnoszące się do dalszego poprawienia procesu nauczania i wychowania poprzez wpajanie młodzieży zasad moralności socjalistycznej, szacunku do pracy jako podstawy pomyślności i rozwoju społeczeństwa — oraz dla ludzi pracy jako twórców dóbr materialnych i kulturalnych.

Dobra realizacja uchwał VII Plenum KC PZPR przekona nas, że mitem tylko jest pojęcie niemocy szkoły na odcinku wychowania.

Postaramy się, aby nauczanie w szkole stało się bardziej wychowujące niż dotąd, zrobimy największy wysiłek w kierunku wypełnienia bogatą treścią wychowawczą zajęć pozalekcyjnych młodzieży w organizacjach uczniowskich. Postarajmy się, aby stanęła w pełnym blasku szkoła jako instytucja wychowawcza.

CHOROBY WIEKU

Zwykliśmy mówić, że psychozy i nerwice są chorobami wieku. Ten dość powszechny pogląd niedługo już, być może, będzie nieaktualny, postępy psychiatrii — jak dowiadujemy się z optymistycznego, a przeto niewątpliwie godnego polecenia artykułu prof. dr Tadeusza Bilikiewicza „Psychiatria — nadzieje i obawy" opublikowanego w „Przeglądzie Kulturalnym" — są bowiem dość znaczne i nasze zdrowie psychiczne — mimo że wciąż grożą mu liczne niebezpieczeństwa — znajduje potężnych opiekunów.

„Insulino-terapia, leczenie wstrząsami kardiazolowymi i elektrycznymi, leczenie śpiączkami atropinowymi, psychofarmakologia ze związkami fenotiazynowymi na czele — oto kamienie milowe szybkiego postępu lecznictwa psychiatrycznego. Zaczął się ten ruch w dziedzinie dotąd raczej beznadziejnej na parę lat przed wybuchem II wojny światowej. Doprowadził dzisiaj do tego, że ostre psychozy przestały być problemem. Posiadamy środki, za pomocą których w ciągu krótkiego czasu możemy opanować większość psychoz, co więcej, zapobiegać ich nawrotowi".

Obawy wobec nowych osiągnięć psychiatrii — żywić winni przede wszystkim prawnicy, także filozofowie i pedagodzy, bo jeśli — jak pisze prof. Bilikiewicz — „okazało się, że w przygniatającej większości przypadków zaburzenia charakterów są następstwem przebytej choroby mózgowej" czyli „wynikiem organicznego uszkodzenia mózgu", to wystarczy dokonać na owym mózgu nieznacznej operacji, by w charakterze człowieka zaszły dość radykalne zmiany. I tak na przykład w pewnych stanach nerwicowych „dokonywano tzw. leukotomii przedczołowej polegającej na obustronnym przecięciu połączeń nerwowych między płatami czołowymi i resztą mózgu. Po takim zabiegu operacyjnym chory podniecony, natychmiast się uspokaja, znikają również różne objawy psychotyczne przykre dla otoczenia i dla samego chorego. Okazało się jednak, że te wyniki lecznicze trzeba drogo opłacić. Ulega bowiem uszkodzeniu najistotniejsza część człowieczeństwa — jego charakter. Obniża się uczuciowość wyższa, zanikają uczucia moralne, rodzinne, społeczne, estetyczne. Dzisiejsza technika psychochirurgiczna doszła do takiej precyzji, że może w ciągu kilku minut zamienić najuczciwszego człowieka w szubrawca i przestępcę".

Perspektywy, otwierające się przed psychiatrią, są więc, jak widzimy, tyleż olśniewające, co przerażające.

ROZMOWA Z LORDEM RUSSELL

„Kiedy przed niespełna miesiącem zabiegałem o widzenie z Bertrandem Russell — pisze we „Współczesności" Jerzy S. Sito — w Londynie kursowała jeszcze anegdota, której autentyczność nie wróżyła mi sukcesu: „Klub Heretyków" z Cambridge zwrócił się do Bertranda Russell z prośbą o prelekcję. Ponieważ dwukrotne nagabywania listowne pozostawały bez odpowiedzi, prezes „Klubu Heretyków" zdecydował się na telefon". Nie mogę się z panami zobaczyć; jestem starym człowiekiem — powiedział lord Russell — lekarze mówią, iż jestem chory; zapewne niedługo umrę. Do zobaczenia w piekle".

Jerzy Sito nie został jednak odesłany do piekła i udało mu się uzyskać od Russella zgodę na przeprowadzenie rozmowy. Rzecz opublikowana została we „Współczesności" i warta jest polecenia czytelnikom nie tylko ze względu na szacunek dla postaci wielkiego filozofa, którego książki cieszyły się w Polsce — i to już w latach międzywojennych — dość dużą popularnością, ale także ze względu na pouczający charakter tej rozmowy. W wypowiedziach Russella znajdujemy bowiem dość zadziwiający stop uprzedzeń przedstawiciela określonej szkoły filozoficznej („Nie lubię mówić o moralności. Mówiąc o niej, ludzie stają się sentymentalni i bezmyślni") i złudzeń starszego — bo prawie 90-letniego — pana („Czymże w końcu jest moralność? Wolałbym to pojęcie zastąpić czymś innym, dobrotliwością i tolerancją") ze złudzeniami poczciwego humanisty („Nie sądzę, by ktokolwiek miał prawo kontrolować ludzkie uczucia. Wykupiliśmy kopalnie i koleje, lecz nie kupiliśmy umysłów ludzkich. Chciałbym widzieć nową formę radykalizmu, która kontrolując środki wytwórczości, pozostawiałaby ludziom prawo do własnego myślenia. Jestem zwolennikiem przemian powolnych, kontrolujących i korygujących ekscesy raczej niż wyburzających wszystko").

Oczywiście, wniosek typu: jak mało ci Anglicy wiedzą o współczesnym świecie byłby wnioskiem raczej pochopnym, bo Russell rozumie wiele i tylko nie wszystko gotów jest przyjąć do wiadomości i zaakceptować.

Warto zastanowić się nad tym, jakie to konieczności zaprowadziły owego twórcę tak niegdyś przez swój radykalizm osławionych propozycji umów społecznych na pozycje XIX-wiecznego humanizmu. Część odpowiedzi znalazłaby się zresztą może w słowach samego Russella, który na uwagę Jerzego Sito: „Wraz z pierwszą wojną wkroczyliśmy w okres cywilizacji masowych, które odbierając jednostce złudzenia co do jej wartości i możliwości, zmniejszyły pokaźnie dopuszczalny margines wolności", odpowiada, jak by niechętnie:

„Niewątpliwie ciśnienie, któremu poddana jest jednostka, wzrastało w tym okresie znacznie".

BRAZM

EWA NURCZYŃSKA

Matka Joanna od aniołów

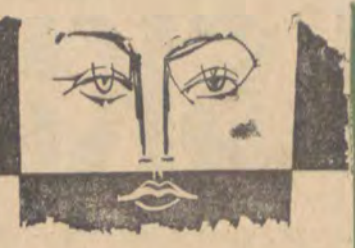

Znamienne jest, że najwybitniejsze polskie filmy powojenne znalazły swe źródło w pierwowzorach literackich. „Matka Joanna od Aniołów" Kawalerowicza potwierdza tę regułę; staje się jeszcze jednym doskonałym argumentem dla zwolenników stałych związków literatury i filmu. Kawalerowicz swym nowym filmem potwierdził fakt, że w ręku prawdziwego twórcy filmowego dobra literatura nie traci nic ze swego blasku i wymowy, a wręcz przeciwnie, dzięki nowym środkom wyrazu wzbogaca się, przemawia jeszcze intensywniej i zdobywa szanse aktualizacji problemów, które niesie.

Tak stało się z opowiadaniem Iwaszkiewicza, które w swej filmowej wersji nie straciło nic na świetności, powiedziałabym nawet, że przeżyło swój renesans.

Przy pierwszej konfrontacji filmu z opowiadaniem zauważa się, że twórcy filmu zrezygnowali z siedemnastowiecznych realiów, które w pierwowzorze mają swe miejsce. Ten moment jest decydujący dla całego filmu. Cechuje go dążność do skupienia wszystkich zdarzeń i ich miejsc do jednego, zamkniętego kręgu, w którym znajduje się człowiek ze swą naturą. Ten krąg wydaje się być nawet w filmowej przestrzeni, geometrycznie wymierzony — zatoczony z miejsca, gdzie stoi zwęglony stos, skąd jednako daleko do dwóch miejsc akcji — klasztoru i zajazdu.

Historia opętania zakonnic ludyńskiego klasztoru, tragedia matki Joanny i jej egzorcysty, księdza Suryna, w filmie Kawalerowicza może jeszcze bardziej niż w opowiadaniu, stała się okazją do wyrażenia pewnych ogólnych prawd o człowieku. Bez względu na to, czy człowiek ten okryty jest habitem i sutanną, czy chodzi we współczesnym kostiumie, bez względu na to, czy człowiek ten pogrążony jest w mistycznych i demonicznych mrokach, lub ubrany w dwudziestowieczną maskę egzystencjalizmu — każdy z tych ludzi ma prawo i potrzebę miłości. I tylko ona jest w stanie zrzucić maski i wyzwolić człowieka.

Do tego wyzwolenia dążą jednak bohaterowie filmu po omacku, ich tragedia jest niewiedza. Ksiądz Suryn w imię miłości, ale jeszcze bardziej w imię swych fałszywych idei, dokonuje straszliwej zbrodni. Ostatni, popełniony w najlepszych intencjach czyn, który sam w sobie jest konsekwencją buntu człowieka przeciw więzom krępującym jego naturę, stawia jednak ks. Suryna w szeregu ludzi innej epoki.

Matka Joanna jest dzisiejszemu człowiekowi bardzo bliska — jej bunt to jest właśnie jej „opętanie", stał się wyrazicielem jak najbardziej współczesnych dążeń człowieka do wydobycia swego „ja", do wyjścia z anonimowego tłumu.

Wspomniałam już o oszczędnej scenerii filmu. Wystarczyła ona jednak twórcom do oddania a nawet spotęgowania atmosfery tragedii, która się rozegrała. Najwyższych szczytów ekspresji sięgają zdjęcia J. Wójcika. Ani jedna ich szansa nie została zaprzepaszczona w chwilach filmowania pustej przestrzeni między klasztorem a zajazdem, kaplicy, klasztornych krużganków refektarza, klasztornego strychu, czy wreszcie białych sylwetek zakonnic i smukłej postaci Suryna.

W filmie Kawalerowicza znalazła znów miejsce specjalna poetyka polskiego filmu — wielka metafora, symbol i przenośnia. Choć chwilami pewna ich natrętność może niejedno oko razić, wydaje mi się jednak, że w tego typu filmie zostało to usprawiedliwione.

Bohaterzy „Matki Joanny od Aniołów" znaleźli swych doskonałych odtwórców. Lucyna Winnicka stworzyła postać przemyślaną, konsekwentną w każdym geście i spojrzeniu. Mieczysław Voit dał pokaz aktorstwa najwyższej klasy w roli, która na każdym kroku groziła przekroczeniem granic uznania ekspresji. Podwójna kreacja Voita w tym filmie (ks. Suryn i Rebe) postawiła go w szeregu najwybitniejszych aktorów polskiego ekranu, podobnie jak i film Kawalerowicza zajął poczesne miejsce pośród najwybitniejszych osiągnięć polskiej kinematografii.

„Dwa oblicza boga"

Kilkunastoosobowa grupa ludzi śpiewa tekst modlitwy na melodię popularnej piosenki, wykonując przy tym taneczne ruchy ciałem i rękami. Zbliżenia twarzy wyrażają wzniosłość lub otępienie... Oto fragment filmu dokumentalnego Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórzewskiego oraz operatora Antoniego Staśkiewicza — „Dwa oblicza boga".

Tym „bogiem" okazuje się niejaki Bernard Wilk, który wykorzystuje ludzką naiwność i nieszczęście dla swych kanciarskich poczynań. Czyni to przy pomocy mistyczno-wzniosłych modlitw i własnego nieco komicznego, co równie prostackiego interpretowania tekstów Biblii.

Film ten nie tylko dziwi, ale przede wszystkim skłania do zastanowienia i refleksji. Hoffman i Skórzewski potraktowali wyznawców sekty „stolicy bożej barankowej" bez uciekania się do łatwego sposobu ośmieszenia. Ukazali po prostu naiwnych ludzi, podatnych na krętactwa sprytnego hochsztaplera. Sprawa ta dotyczy jednego z trudnych do wyeliminowania marginesów naszego życia — działalności ciemnogrodu.

Ludzie w tym filmie są prawdziwi. Naiwnie wierzą że swą pracą, swymi modlitwami i kultem dla osoby spryciarza zbawią świat, uratują go przed wojną.

„Dwa oblicza boga" — to świetnie podpatrzony i zrealizowany dokument filmowy. Sygnalizuje on niebezpieczeństwo na jakie narażona jest ludzka naiwność, wykorzystana przez spryciarza grasującego na stosunkowo szerokim obszarze: od Śląska Górnego i Dolnego poprzez Ziemię Lubuską aż do Szczecina i Świnoujścia.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Ulubione filmy 1960 r.

W wyniku przeprowadzonego w naszej redakcji komisyjnego losowania, nagrody w postaci książek otrzymują następujący Czytelnicy:

1. *Barbara Grzywacz, Łódź, ul. Rzgowska 6 m. 27.*
2. *Lech Małgorzewicz, Łódź, Piotrkowska 3—32.*
3. *Teresa Orlewska, Kolumna, Warszawska 26.*

Oto filmy 1960 roku sklasyfikowane przez Czytelników „Odgłosów" w odpowiedzi na naszą ankietę. Pod uwagę wzięliśmy filmy, które otrzymały minimum 10 punktów.

1. „KRZYŻACY" — polski 92 pkt.
2. „PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO" — USA 89 pkt.
3. „BALLADA O ŻOŁNIERZU" — ZSRR 39 pkt.
4. „TAM GDZIE ROSNĄ POZIOMKI" — szwedzki 35 pkt.
5. „HIROSZIMA, MOJA MIŁOŚĆ" — franc. 30 pkt.
6. „SIEROŻA" — ZSRR 27 pkt.
7. „BULWAR ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA" — USA 17 pkt.
8. „WSPÓLNY POKÓJ" — polski 14 pkt.
   „CZARNY OFREUSZ" — 10 pkt.
   „U PROGU ŻYCIA" — szwedz. 10 pkt.
9. „W CZEPKU URODZENI" — NRF 10 pkt.
   „DZIEWCZYNA Z PROWINCJI" — USA 10 pkt.
   „ZŁAMANA STRZAŁA" — USA 10 pkt.

Paul Guers reprezentuje najmodniejszy obecnie typ gwiazdy filmowej płci męskiej. Minął już bowiem szał nieokrzesanych „buntowników" w farmerach i skórzanych kurtkach, z rozwianym włosem i w ciemnych okularach.
Paul Guers, młody, inteligentny, bardzo przystojny (jak widać na załączonym obrazku) jest właśnie ekranowym wcieleniem elegancji i dobrego smaku. Debiutował w 1954 r. jako partner Silvany Pampanini w filmie „Wieża Nesle". Ostatnio stworzył dwie bardzo interesujące kreacje w filmach „Dziewczyna o złotych oczach" i „Sahara płonie".

Polemiki

E. Bryll — „krytyk warszawski"

Aż cały duży felieton poświęcił Ernest Bryll w tygodniku „Film" (nr. 7) jednemu zdaniu z artykułów M. Kornatowskiej „O krytykach i recenzentach warszawskich" zamieszczonych w „Odgłosach". Kornatowska m.in. wyraziła się figlarnie o rubryczce w „Filmie" „dziewięciu gniewnych ludzi", która wydała jej się redagowana przez dziewięciu jowialnych i pogodnych starszych panów. Ta rubryczka i zamieszczane w niej oceny filmów posłużyły Kornatowskiej jako jeden z wielu przykładów pseudopoprawności warszawskiej krytyki filmowej, ganiącej to co już dawno gdzieś zostało zganione lub chwalącej to, co już dawno ktoś gdzieś indziej pochwalił. Nie chodziło rzecz jasna Kornatowskiej o to by ganić „za wszelką cenę" lub „chwalić na opak" jak to sugeruje Bryl. Po prostu starała się wykazać brak oryginalności i własnego zdania krytyków filmowych. Zresztą, uzasadniła to szerzej wykazując cały szereg delikatnie mówiąc „zapożyczeń" sądów a nawet całych recenzji polskich krytyków u krytyki zachodniej. Pisała Kornatowska, że polskie periodyki filmowe dublują się wzajemnie, nie mają jakiegoś określonego profilu, poszczególni zaś recenzenci nie reprezentują żadny określonych gustów i kryteriów. Często zdarza się, że ten sam krytyk o tym samym filmie zupełnie różny sąd wyraża w różnych pismach.

To wszystko z artykułów Kornatowskiej można by przypomnieć Ernestowi Bryllowi. Ale po co? Zrobiła to już za nas „Nowa Kultura" w ostatnim swym numerze w notce: „Recenzent zapomniał". Pozwalamy sobie tę notkę przedrukować:

„Ernest Bryll prezentuje rzadką niezależność sądów. Oto w „Sztandarze Młodych" o telewizyjnym „Pegazie" pisze:

„Moim skromnym zdaniem jest to audycja, która zdobyła sobie pewną popularność audycja nieprzypadkowa, o własnym stylu. Na dodatek na ogół ciekawa".

„Odpowiedzi na pytanie — dlaczego Dziennik Telewizyjny jest jedną z najpopularniejszych audycji wyjaśni nam zarazem na czym polegają nieporozumienia w obecnej metodzie przygotowywania np. magazynu kulturalnego „Pegaz"... Ale chyba nie słabości tych pism należy przypisywać drętwotę np. „Pegaza".

Takie rozbieżności w ocenie należy przypisać słabej pamięci autora, który zapomniał, co kiedyś na ten sam temat pisał" — kończy swą notkę „Nowa Kultura".

Dziękując jej za bezwiedną przysługę pozwalamy sobie zapytać Ernesta Brylla: miała jednak rację Kornatowska czy nie miała?

REDAKCJA

OPOLSKIE - zawsze polskie

RYSZARD HŁADKO

Historycy niemieccy twierdzą, że miasta na Śląsku powstawać zaczęły dopiero w XIII wieku wraz z rosnącym wpływem kolonizacji niemieckiej. Przyznają, że jeśli nawet wieś śląska była owszem, wsią polską, to miasta śląskie ponad wszelką wątpliwość od samego początku tworzył rzekomo żywioł niemiecki.

Nic bardziej fałszywego. Istnienie na Ostrówku w Opolu już w X wieku prawdziwego miasta wczesnośredniowiecznego o typowej dla ówczesnych plemion polskich zabudowie jest faktem niepodważalnym.

Rozwinęło się z prapolskiej osady z VIII wieku, o której wspomniał w sto lat potem geograf Bawarski, a była ona w tym czasie zapewne grodem centralnym, wśród 19 pozostałych. Stworzyła je ludność polska, której oblicze etnicze ukształtowały poprzednie wieki.

Kolonizacja niemiecka? Owszem — była, lecz dopiero w drugiej połowie XIII wieku, kiedy Ostrówek istniał już ładnych paręset lat. Jej faktyczny wpływ został mocno wyolbrzymiony przez burżauzyjną historiografię niemiecką.

Przekonują o tym dowodzie opolskie wykopaliska. Wśród tej małej liczby przedmiotów z zakresu rynsztunku wojennego, ani jednego, który byłby obcego pochodzenia. Wśród mnóstwa przedmiotów sztuki rzemieślniczej z X—XIII w., brak jakichkolwiek śladów niemieckich wpływów, choć przecież sąsiedztwo było chyba najbliższe. Co ciekawsze, nie Niemcy byli pierwszymi kolonizatorami na Śląsku, lecz szczupła grupka rzemieślników, przybyła tu aż z Francji, z dalekiej Walonii i Flandrii.

Co prawda, pierwsza fala migracji niemieckiej zrobiła swoje — bogaci opolanie w źródłach z końca XIII wieku mają wyłącznie imiona germańskie, lecz już w końcowych latach XV wieku w radach miejskach Opola zasiadają i występują w dokumentach w większości ludzie o nazwiskach polskich, a już w XVI wieku panują tam niemalże niepodzielnie. Warto wspomnieć, że jak wynika z niemieckiego urbarza z 1566 r. wśród 55 wsi na Opolszczyźnie nazwiska polskie stanowiły 80,3 proc., niemieckie 13,5, a wątpliwe 6,1 proc. w samym zaś Opolu wśród nazwisk 266 wymienionych mieszkańców miasta, 179 było polskich, 58 niemieckich, 29 wątpliwych, przy czym dane te dotyczą „górnej" bogatszej części mieszczan, nie obejmując plebsu, który w przytłaczającej większości był polskiego pochodzenia.

Niemieccy burżuazyjni „kulturtraegerzy" z uniwersyteckimi dyplomami i w akademickich togach wysuwają znów inny argument: „Ci Polacy na Śląsku sprzed tysiąca lat nie mają nam czym zaimponować. To ubóstwo techniki, ten prymitywmyślowy, te hordy dzikie..."

Zaiste dziwna to była „dzicz", skoro potrafiła wybudować prawdziwe miasto, obwieść je solidnymi wałami, a nawet stawiać już wtedy nie tylko murowane kościoły, lecz i budynki świeckie, poprzecinać wały ulicami i wymościć je brukiem. Dziwna zaiste to była „dzicz", skoro potrafiła, wytapiać stal, tkać przy pomocy poziomego krosna, lepić garki na kole, wyprawiać skórę, szyć buty, używać szczotki i grzebienia, stroić się z pełnym wykwintem, uprawiać rolę, sadzić warzywa, zakładać szkółki sadownicze, hodować bydło, handlować i liczyć, rzeźbić, malować i grać na skrzypcach. Stwierdzić trzeba, że tak wysokiego poziomu kultury materialnej i duchowej śląskiego ludu jak ten, który zastano na Ostrówku nie spodziewali się nawet najbardziej pozytywnie do własnej przeszłości nastawieni fanatycy sprawy polskiej na Śląsku.

Archeologia, historia, jak również dzieje najnowsze, stwierdzają ponad wszelką wątpliwość integralny, odwieczny związek etniczny i geograficzny a przez dłuższy czas również polityczny Śląska z Macierzą. Związek ten jest bezsporny również i wtedy, gdy porównawczo zestawimy materiał wykopaliskowy Ostrówka z wykopaliskami Kruszwicy, Gniezna, Poznania, Gdańska, Łęczycy, Płocka i Biskupina. Technika budownictwa, przedmioty codziennego użytku, ubiór, uprawa roli, wierzenia i wiele innych zjawisk, są prawie zawsze analogiczne lub podobne do siebie.

— „Przyjmijmy, że i to prawda" — powiedzą nam tu uparci, burżuazyjni filogermani. Lecz Ostrówek to tylko trzy wieki. Niemcy byli tu za to siedemset lat, zbudowali to miasto, zasiedlili je, nadali mu swoje piętno",

Też nie prawda! Odpowiedź na to daje historia. Wiadomo, że Ostrówek od roku 1211 wolą Kazimierza I staje się siedzibą księcia. Mieszkańcy Ostrówka przeniesieni zostają na prawy brzeg Odry, do powstającego w międzyczasie Opola a na opuszczonym przez nich terenie zbudowany zostaje zamek książęcy. Od tej pory, aż do połowy XVI wieku zasiada w nim nader liczna dynastia piastowiczów śląskich: ich kości do dziś kryją się w kryptach kościoła OO. Franciszkanów w Opolu, w podziemiach książęcej kaplicy, gdzie w zworniku gotyckiego sklepienia widnieje po dziś dzień piastowski orzeł. Ten sam orzeł piastowski widniał na szczycie gotyckiej wieży zamku książęcego w Opolu jeszcze do roku 1930.

Nie ulega wątpliwości, że miasta śląskie w tym i Opole w ciągu 100-letniego okresu niemieckiej kolonizacji i germanizacji w poważnej mierze stały się siedliskiem żywiołu etnicznie niemieckiego. Miasta bowiem były po prostu naturalną bazą działania dla rzemieślników, kupców i duchowieństwa, a do takich zajęć sprowadzały się przeważnie umiejętności osiedleńców. Napływ kolonistów rozpoczął się od XIII w. kiedy wśród Piastowiczów Śląskich doszło do rozłamu i podziału Śląska.

Stopniowo, nie przebierając w środkach, intrygą i podstępem, przekupstwem, pochlebstwem, a w końcu zwyczajnym gwałtem niemieccy „hospites — goście" porośli w piórka, wypierając stopniowo Polaków i z tych stanowisk, nie bez pomocy zresztą samych książąt opolskich, coraz uleglej i często wbrew własnej woli poddających się germanofilskim wpływom. Tak to sami piastowie Śląscy nieświadomie zacisnęli wokół swych szyi samobójczą pętlę.

W rezultacie już w XVI wieku, po śmierci bezdzietnego Jana Dobrego (1532), rządy nad Opolszczyzną mógł bez trudu przejąć od razu żywioł niemiecki poprzez panujących ówcześnie Habsburgów.

Opole i Opolszczyzna na długie wieki popadły w niemiecką niewolę, poprzedzoną wasalnym poddaństwem wobec Czech i Austrii. Była to klasyczna okupacja, z wszelkimi akcesoriami narodowego ucisku, od wynaradawiania do zagłady fizycznej włącznie. Żywioł polski na Śląsku był bezwzględnie tępiony zarówno przez Habsburgów, jak administrację pruską i hitlerowską. Wielokroć razy Ślązacy i Opolanie porywali za broń, poczynając od buntów chłopskich XVII wieku, skończywszy na trzech powstaniach w latach 1919—1921. Topiono je w morzu polskiej krwi. Język polski rugowano bezwzględnie ze szkół, urzędów, świątyń, ksiąg metrykalnych i map, dławiono polską myśl narodową, zamykano i mordowano działaczy oświatowych, ośmieszano polskie zwyczaje ludowe, wzbraniano Polakom dostępu na wyższe uczelnie, odbierano im ziemię i budynki, odmawiano koncesji na prowadzenie polskich instytucji handlowych, banków, szkół i świetlic, szykanowano prasę i wydawnictwa.

Niewiele to pomogło. Jeszcze u schyłku XVIII wieku, po 5 stuleciach niewoli w Opolu przeważa ludność polska, zaś wieś opolska aż do ostatnich prawie czasów miała w 100 proc. żywioł etnicznie polski, co zmuszało nawet władze niemieckie do stosowania dwujęzycznej korespondencji urzędowej (np. ukazujący się do roku 1937 Dziennik Urzędowy Rejencji Opolskiej).

Oddajmy zresztą głos w tych sprawach samym Niemcom.

— „...w większej części Górnego Śląska, szczególnie w powiatach Bytom, Koźle, Kluczbork, Niemodlin, Lubliniec, Opole, Racibórz, Olesno, Rybnik, Strzelce Opolskie i Toszek — Gliwice cały właściwie lud, nie tylko, że jest polskiego pochodzenia, ale i dziś jeszcze w większej części mówi po polsku i to przeważnie wyłącznie po polsku"...

(Leipziger Allgemeine Zeitung, 1841 rok, nr 160).

Miał też rację prof. dr. Wilhelm Volz gdy w 1930 roku wołał do swych współbraci w prorocznym przeświadczeniu:

„Polska zażąda całej ziemi na wschód od Łaby — ziemię tę istotnie skolonizuje i posiądzie a tysiąc lat historii niemieckiej przemnie nadaremnie"!

Dzisiaj, ten sztuczny w granicach Niemiec buforowy twór odnalazł wreszcie swe naturalne geograficzne narodowe i społeczne powiązanie z polską historią, polskim narodem i państwem polskim, jest częścią integralną całego monolitu, któremu na imię Polska Ludowa.

Co więcej — ten zaniedbany kiedyś Śląsk Opolski dzierży dzisiaj zaszczytny prymat trzech podstawowych dziedzin rozwoju społeczno-gospodarczego całego kraju: rolnictwa, oświaty i zdrowia. I nie tak prędko bynajmniej damy się komu wyprzedzić.

Nawet Łodzi!

Fot. A. Funkiewicz i P. Mystkowski. Wenecja opolska —

Pisanka z wapienia
Fot. A. Szczodrowski

Trzewik męski wycinany w „lilijki" (rekonstrukcja)

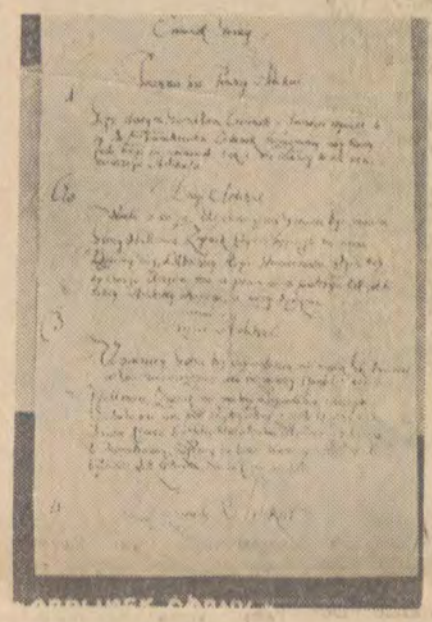

„Ordunek Górny" — pierwsza polska ustawa górnicza z 1528 r. opracowana przez ostatniego Piasta Jana II Dobrego
Fot. R. Okoński

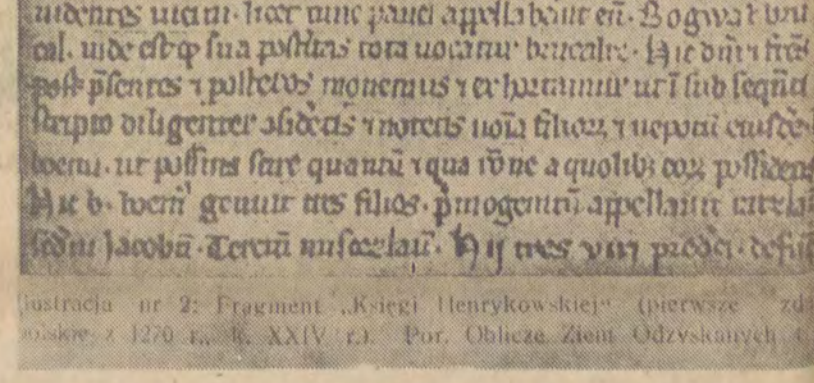

„Księga Henrykowska" z 1270 r. — pierwsze polskie zdanie „Day ać ia pobrusa a ti poczywaj"
Fot. St. E. Nagietowicz

Próba rekonstrukcji domów na Ostrówku.

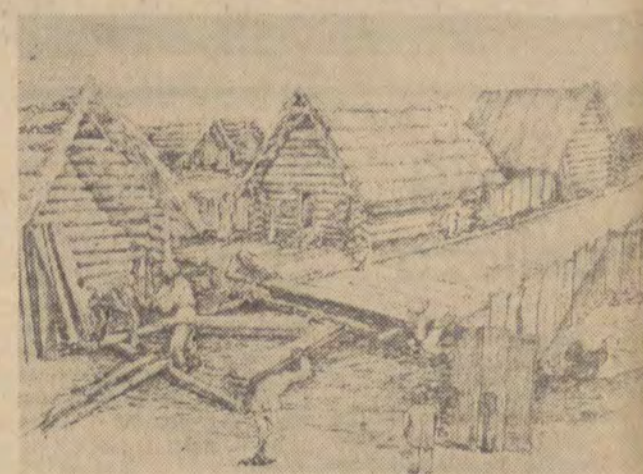

Układanie ulicy na Ostrówku.

Samotny żołnierz niemiecki z tępą wściekłością, siał z cekaemu ostatnie śmiercionośne pociski w miasto. W pewnym momencie mieszkańcy usłyszeli potężną detonację i wieża wraz z ostatnim wrogiem runęła pod gąsiennice czołgów, które miażdżąc jego ciało szybko sunęły w kierunku Łodzi.

Nie każdemu miastu zostało dane przeżyć tak efektowne wyzwolenie. Czołgista, który strącił z wieży kościoła ostatniego wroga skwitował niejako tym dramatycznym gestem symboliczny rachunek krzywd. Właśnie temu miastu takie zadośćuczynienie jak najbardziej się należało. W 1939 r. na skutek działań wojennych Brzeziny straciły 60 proc. budynków, a w czasie 5-letniej niewoli Niemcy wymordowali prawie połowę ludności miasteczka.

Brzeziny liczyły przed wojną 16 tys. mieszkańców, a po wyzwoleniu zostało jedynie 8 tys. Brak jakichkolwiek zakładów przemysłowych, brak stałej pracy spowodował, że ludzie z Brzezin zaczęli natychmiast po wojnie emigrować do Łodzi i dalej na Ziemie Zachodnie. I tak, gdy w 1945 roku mieszkało w Brzezinach 8 tys. osób w 1948 roku liczba ta spadła do 6 tys., w 1950 było 6.400, w 1956 — 6.900, w 1957 — 7.300. Te 7.300 stanowi w tej chwili tzw. constans, przyrost naturalny zrównał się z odpływem. Ten demograficzny constans jakkolwiek świadczy o braku dynamiki rozwojowej miasta jest jednocześnie świadectwem pewnej stabilizacji ekonomicznej.

Brzeziny ominięte przez linię kolejową nie stały się miastem przemysłowym, lecz chałupniczym zapleczem Łodzi. Przed wojną znane były jako miasto szewców i krawców. Kamizelki i spodnie szyte w Brzezinach cieszyły się sławą nie tylko w kraju ale i za granicą. Splendor spływający z tego tytułu na miasto jeszcze dziś stanowi przedmiot dumy tutejszej ludności. Jednak w chwili obecnej prywatne chałupnictwo wchłonięte zostało przez spółdzielczość i przemysł państwowy. Dawni krawcy pracują obecnie w Brzezińskich Zakładach Przemysłu Odzieżowego, Spółdzielni im. Marcelego Nowotki, Spółdzielni „Łączność" i CPLA. W ostatnim okresie powstały w Brzezinach Zakłady Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych. Dotychczas jest to jednak przedsiębiorstwo deficytowe. Ambitniejsze inwestycje czynią jedynie BZPO, wykazując tym samym tendencje wzrostu i dalszego rozwoju. Pozostałe przedsiębiorstwa istnieją raczej na zasadzie bezwładności. Przed trzema laty spółdzielnia im. M. Nowotki zaczęła budowę nowego obiektu, ale postawiono jedynie murowany szkielet i tak pozostało do dnia dzisiejszego.

Tak więc na tej kruchej krawieckiej bazie, którą tu w skrócie zarysowałem, żyje 7.300 osób, żyje niebiednie ale i niebogato, ot tak sobie, średnio, bez większej przyszłości i ambicji, i w dodatku trochę nudno. Samo miasto robi na przybyszu — nie obrażając jego mieszkańców — wrażenie dość niechlujnego. Małe, stare domki pamiętające rewolucję Styczniową i wojnę rosyjsko-japońską niszczeją powoli ale skutecznie, ukazując przyjezdnym swe spróchniałe i zgniłe rany. Przez pierwsze 10 powojennych lat nie wybudowano ani wyremontowano w tym mieście choćby jednego domu. Od paru lat sytuacja na tym odcinku poprawiła się. Specyficznym, a ciekawym dowodem jest fakt wzrostu pracowników Zarządu Gospodarki Komunalnej. I gdy na przykład we wszystkich wydziałach Prezydium Miejskiej Rady Narodowej pracuje razem 15 osób, to w samym Zarządzie Gospodarki Komunalnej pracuje aż 25. W okresie ostatnich 3 lat wyremontowano 597 izb kosztem 5.740 336 zł. W 1958 r. wyremontowano 142 izby, 1959 — 291 izb. w 1960 — 164 izby. Ogólny plan finansowy Zarządu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej na ten okres wynosił 10.508.524 zł, a wykorzystano jedynie 10.266.426, 23 zł tj. 97,7 proc. Właściwie te 2,3 proc. to mała kropla która została na dnie nieduzego trzosa.

Ale gdy ogląda się zmurszałe domy nawet i te 2,3 proc. zaczynają nabierać kształtów niezbędności. Oczywiście jest to kwestia z jakiego punktu na nie patrzeć. Bo jeżeli na przykład pięciomilionowy budżet roczny tutejszego Prezydium przyrównamy do ilości milionów wydanych na alkohol w całym powiecie brzezińskim to te 2,3 proc. nawet nie kroplą małą, a atomem się wydadzą. Podatek od wypitej wódki wynosi w tym powiecie rocznie 2 miliony złotych, a zaległości finansowe z tytułu podatków wynoszą, też bagatelka, tylko pół miliona złotych. Zaległości te w dużej mierze pochodzą z nie opłaconego czynszu i świadczeń za komorne.

Tak więc wina za koszmarny wygląd tego umierającego miasta spada i na samych mieszkańców Brzezin.

Charakterystyczne, że stałymi klientami Urzędu Komorniczego już od 15 lat są jedni i ci sami ludzie. Do takich recydywistów-dłużników, którzy już na stałe wpisali się do historii miasta należą: Piotr Balwierczyk i Bronisław Kiełbasiński wraz ze swą matką Julią. Dla całości obrazu (aby już nie było wątpliwości, że uwziąłem się zrobić Brzezinom reklamę wśród rodaków) podam, że dobrowolne wpłaty na Społeczny Fundusz Budowy Szkół w stosunku rocznym od samego rolnictwa (a jakże, w Brzezinach mieszka sporo rolników) ustanowiono na 78 tysięcy złotych, a uzyskano z tego w 1950 roku — 11.194 zł, zaś w 1960 roku — 54.763,50 zł.

KAROL BADZIAK

Zrezygnowane miasto?

Ppor. Zygmunt Stangreciak z-ca Kom. Pow. MO.

I sekr. Kom. Pow. PZPR Bronisław Zbróg

W Brzezinach natrafiłem akurat na naradę kierowników tutejszych instytucji i przedsiębiorstw.

— *„Utarła się opinia, że w Brzezinach mieszkają ludzie diabła warci* — mówił referent. — *Poprzez wszystkie kanały przemówimy do rozsądku społeczeństwa. Szczególnie chodzi* — notowałem dalej — *żeby wylotowe ulice uporządkować, bo to przejeżdżają tędy różne osobistości. Miasta przemysłowego to z Brzezin nie zrobimy, ale miasto czystości na pewno. Ten musi dać lampę, ten musi dać kosz, tamten ławkę, a jak nie to będziemy wysyłać na Księżyc. Przeprać trzeba dobrze portki niektórym.* (Głos z sali). *Do każdego domu, do każdego mieszkania trzeba wejść. I meliorację trzeba zrobić, bo jak ktoś patrzy na nasze łąki to mu się głowa sama odwraca.*

Opuściłem naradę i poszedłem w miasto utartymi szlakami reportera konfrontować słowa mówcy.

W ciągu tych 15 lat wybudowano w Brzezinach dwa bloki mieszkalne i oto lokatorzy zamiast szanować te „rodzynki" drwa rąbią na podłogach swych mieszkań. Autentyczne. Odwiedziłem także łaźnię, masarnię, obejrzałem szpital, szkołę, bibliotekę, świetlicę dla dzieci, no i oczywiście spenetrowałem miejscowe knajpy.

W łaźni i masarni panują warunki antysanitarne. Do łaźni uczęszcza w Brzezinach tygodniowo od 15 do 20 osób. Szpital jest za mały, w szkołach pomieszczenia zbyt ciasne. W szkole podstawowej dzieci uczą się na trzy zmiany. Biblioteka to już zupełnie nowy rozdział; grozi przede wszystkim zawaleniem, jest ciasna i pusta. W ciągu pół godziny nie odwiedził jej ani jeden czytelnik. Książki zamiast u czytelników stoją równymi szarymi szeregami na półkach, wśród których nie zauważyłem żadnych luk. Bibliotekarki na pytanie czy znają nazwisko jakiegoś współczesnego pisarza polskiego nie potrafiły wymienić mi ani jednego. O nie, bardzo przepraszam, bo mogłoby jeszcze nadejść sprostowanie do redakcji Po długim namyśle jedna z nich bąknęła coś o Wańkowiczu, a druga o Strzeleckim. (sic!) Przysięgam.

Zmęczony całodziennym szperaniem po Brzezinach udałem się w końcu do Baru-Kawiarni i do restauracji. Była to rekompensata za całodzienne trudy. Tu dopiero zetknąłem się z czystością, której brak w łaźni i masarni, tu miałem przestrzeń, której brak odczuwa szpital i szkoła, tu spotkałem niedoszłych czytelników biblioteki, tu zobaczyłem nowoczesne malunki. To nic, że pretensjonalne, ale były. Usiadłem w rogu przy dużym jasnym oknie, rozłożyłem notatki i zacząłem przepisywać, robić bilans wrażeń i cyfr, przygotowywać reportaż z Brzezin.

Wydatki Zakładu Oczyszczania Miasta: w 1958—1960 wynosiły 594.696,45 zł. W ZOM zatrudnionych jest ogółem 12 osób i 3 konie, łącznie z zamiataczami ulic. Dowcipnym radzę to zdanie wyciąć i wysłać do „Przekroju". Sprzęt techniczny ZOM: 3 wozy ogumione, 1 platforma, beczka na wozie konnym do wywozu fekalii, (używana do czerwca 1960r.) samochód asenizacyjny, który ponadto wypożyczany jest odpłatnie Koluszkom, Strykowowi, polewarko-zmywarka, 100 sztuk pojemników blaszanych (pertraktacje o dalsze 50 sztuk w trakcie) wozownia drewniana z wybrukowanym podjazdem, garaż, stajnia i warsztat ślusarski.

Nowe bloki ul. Traugutta

Róg ul. Mickiewicza i Sienkiewicza

Wydatki na zieleńce i parki — 216.778,95 zł. Wysadzono 400 sztuk drzewek, 152 m² nowych zieleńców, rabatki na chodnikach po obu stronach ulicy Sienkiewicza i część na ulicy Kościuszki, zakup 50 kg trawy, melioracja parku szlamowanie i czyszczenie stawu, zakup 50 sztuk koszy na odpadki i 35 ławek. Przy pracy na zieleńcach zatrudniono 3 robotników. Ktoś powiedział: „drzewa to zielone płuca".

Oświetlenie — 147.331,24 zł, 121 punktów świetlnych w tym 25 punktów oświetlenia jarzeniowego. Światło jarzeniowe nadaje podobno estetyczny wygląd ulicom miasta w porze wieczorowej.

Opieka nad starcami i sierotami: 1959 — 20.000 zł. 1960 — 40.000 zł. 18 stałych podopiecznych, 6 okresowych. Poza tym w sezonie martwym 50 osób otrzymuje zasiłki z tzw. funduszu interwencyjnego. Ludzie ci są najczęściej wykorzystani do prac rozbiórkowo-porządkowych. Zwierzęta znajdujące się na terenie miasta w 1960 r: — koni — 182, bydła — 559, trzody chlewnej —1.099, owiec — 250, kóz i kozłów — 34. Pogłowie bydła spada. Sprawa ta powinna zostać rozpatrzona na posiedzeniu Kółka Rolniczego.

Kultura — kino ma 311 miejsc, biblioteka — 11.000 tomów, sala Ochotniczej Straży Pożarnej. Mieszkańcy Brzezin proszą aby przyjeżdżały do nich częściej teatry z pełnospektaklowymi sztukami. „Estrada" już się im przejadła. Szczególna prośba do aktora Ćwiklińskiego: „Panie Ćwikliński, był Pan w Brzezinach już osiem razy z jednym i tym samym monologiem pt. „Strażak". Mieszkańcy proszą o inny repertuar. Miejscowa milicja nie bierze na siebie w przeciwnym wypadku odpowiedzialności za wybryki chuliganów". Tyle notatki. Jak by nie było — widać ruch, widać próby rozwijania słusznych inicjatyw.

Zamiast zręcznej pointy pozwolę sobie przedrukować wnioski jakie zostały wysunięte 31 stycznia 1961 r. przez członków ustępującej Miejskiej Rady Narodowej. Wnioski te wejdą do programu wyborczego jako postulaty mieszkańców pod adresem przyszłych władz wszystkich szczebli. Oto one:

1) W dalszym ciągu realizować budownictwo mieszkaniowe różnymi sposobami, a przede wszystkim rozwinąć spółdzielcze i indywidualne.

2) Rozpocząć budowę i kontynuować rozwój kanalizacji i wodociągów, gdyż tylko tym sposobem poprawić będzie można stan sanitarny i zdrowotny mieszkańców.

3) Budować Dom Kultury opierając się również na czynach społecznych społeczeństwa.

4) Budować rzeźnię miejską, gdyż instytucje gospodarcze jak i mieszkańcy miasta i dalszych wsi w promieniu 10 i więcej km nie mają gdzie dokonywać ubojów.

5) Konieczna jest dalsza rozbudowa szkół a w szczególności szkoły średniej, która pomieściłaby młodzież z sąsiednich wsi.

6) Elektryfikacja peryferii miasta a w szczególności Szosy Łowickiej i Traktu Małczewskiego, oczywiście przy pomocy mieszkańców tych dzielnic.

7) Budowa dwóch mostów przy ul. Kilińskiego i Swierczewskiego.

8) Uszlachetnienie nawierzchni dróg, a w szczególności ulic: 15 Grudnia, placu 15 Grudnia, Hanki Sawickiej.

9) Ciągle nurtującą sprawą jest kwestia połączenia Brzezin z Łodzią dlatego też należy postulować budowę linii tramwajowej w czym mieszkańcy bardzo chętnie pomogą. Widzicie więc — błoto, brudne jeszcze domy a jednak wyjeżdżam stąd optymistą. Brzeziny nie rezygnują z roli miasta.

Zdjęcia: H. POWIERŻA

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

Zaćmienie mowy

Coraz więcej ludzi skarży się na zaćmienie naszej mowy. Tej w codziennym użyciu? Nie. Ta jest nazbyt jasna, a nawet — możnaby powiedzieć — jaskrawa. Chodzi o zaćmienie mowy literackiej, zwłaszcza tej, którą jest pisana współczesna poezja. Czytelnik mniej wyrozumiały gotów jest całą winę przypisać jednostronnie autorom, którzy hołdując rzekomo dzikiej modzie utrudniają rozmyślnie życie jemu i sobie.

Ale tak jednak nie jest. Każdy autor pragnie być czytany, żaden nie chce utrudniać czytelnikowi zrozumienia treści, którą zawarł w swoim dziele. Zwłaszcza im głębsza jest ta treść, tym jaśniej chce ją w słowach wyłożyć. Lecz nie zawsze to mu się udaje, bo słowa i wyrazy w codziennym użyciu oddają tylko powierzchowne objawy rzeczy i zjawisk. Ciekawe, że nikt się nie skarży na niezrozumiałość mowy uczonych, którzy docierając do sedna rzeczy używają słów i terminów specjalnych, a więc trudnych i nie zawsze jasnych. Nikt się nie dziwi, że na przykład Albert Einstein w rozprawce o swojej teorii względności jest niejasny dla przeciętnego czytelnika, a Karol Marks w swoim podstawowym dziele o „Kapitał", jest trudny. Nikt także nie ma pretensji do dziennikarzy, że w swoich komunikatach na temat lotów międzyplanetarnych używają takich enigmatycznych słów jak „trajektoria", „megacykle" itp.

Czym to tłumaczyć? Tym, że jeśli chodzi o niejasność języka naukowego, to ludzie się do niego przyzwyczaili, sądzą, że jest on językiem specjalistów, językiem wtajemniczonych, zaś język literacki, to co innego, to właśnie język dla wszystkich, język otwarty i jasny dla każdego.

Czy słusznie? Z pozoru tak. Ale tylko z pozoru. Bo rzekoma niejasność języka naukowców też jest tylko pozorna. Właśnie język naukowców jest bardzo ścisły i jasny, ściślejszy i jaśniejszy o wiele od prostej i zrozumiałej, lecz mętnej i chaotycznej, mowy codziennej. Tak samo właśnie język literacki, nawet z pozoru najmniej prosty i zrozumiały, z punktu widzenia (czy raczej słyszenia) mowy codziennej jest ścisły i jasny w stosunku do treści, którą odpowiednimi zestawieniami słów wyraża.

Otóż w tym właśnie leży nieporozumienie. Czytelnik zawsze jest skłonny pobłażać niejasności języka naukowców, którzy odkrywają nowe treści, natomiast nie chce przyznać podobnego przywileju pisarzowi, malarzowi, w ogóle artyście — jak gdyby oni nie mieli prawa do odkrywania nowych treści, których inaczej nie da się wypowiedzieć, jak tylko przez nowe słowa, nowe środki wyrazu i nowe ich zestawienia, powodujące pozorną niejasność i trudność w ich natychmiastowym rozumieniu.

Inna sprawa, że wielu literatów, a zwłaszcza młodych i najmłodszych poetów, maskuje brak treści w swoich utworach pozorami jej głębi w związkach i zestawieniach słownych umyślnie mętnych, trudnych i dziwacznych w myśl jakby zasady: im mniej treści, tym więcej niejasności. Ale to już należy do dziedziny osobnego i bardzo złożonego dziś problemu grafomanii, która jest nieodłącznym elementem każdego debiutującego zjawiska artystycznego. Zaćmienie mowy początkującego autora, jeśli ma talent, oznaczać może, że za pozorną niejasnością kryje się słońce — jeśli nie ma talentu, że żadnego słońca poza ciemną tarczą księżyca nie ma. Księżyc, jak wiadomo, świeci tylko światłem zapożyczonym — grafoman tak samo. Tylko prawdziwy twórca wyzwala się ze światła zapożyczonego, które zażegło jego własne, i świeci dalej samoistnie.

Przedłużające się od lat zaćmienie mowy w najmłodszej literaturze, a zwłaszcza poezji polskiej, świadczy, że — miejmy odwagę to powiedzieć — więcej w niej grafomanów, niż prawdziwych twórców. To nie znaczy jednak, że jedynym sprawdzianem talentu jest bezwzględna jasność i doraźna zrozumiałość. Trzeba pamiętać, że był u nas Norwid, który dotychczas jeszcze nie jest w pełni zrozumiany, a gdzie indziej byli i są tacy wielcy i genialni pisarze, jak Pascal, Stendhal, Rilke, Joyce, Proust, Bernanos, Faulkner, T. S. Eliot i Camus, którzy z pozoru są bardzo ciemni, trudni i enigmatyczni, a w istocie swej treści niezwykle prości, logiczni i przejrzyści, a przede wszystkim ludzcy. Pozorna niejasność ich języka jest wynikiem tak olśniewająco odkrywczej treści, że przy pierwszym z nią zetknięciu ślepnie nasz wzrok podobnie jak przy nagłym spojrzeniu w słońce. Trzeba pewnego czasu, żeby się z tym światłem oswoić, wtedy i niejasność znika.

Dlatego niezupełnie słuszne wydaje mi się zdanie mego przyjaciela, Jana Koprowskiego, które zamieścił w artykule „Jak żyją ludzie?" (w „Dzienniku Łódzkim" z dnia 15 bm.): „że nawet w sprawach trudnych i skomplikowanych można pisać w sposób zrozumiały", to znaczy zawsze jasny i prosty. Oczywiście, trzeba i należy, ale okazuje się, że nie zawsze można i nie za każdą cenę. Nie każdą treść da się opowiedzieć „własnymi słowami", nie spłycając jej i nie gubiąc w łatwości i przystępności wyrazu jej istoty. Treść bowiem implikuje odpowiednią formę. Nie trzeba schlebiać lenistwu czytelnika — przeciwnie, trzeba go nauczyć pokonywania trudności. Prawdziwa kultura i prawdziwa głębia podobnie jak prawdziwie wartościowa kobieta nie oddaje się łatwo i stawia swoje wysokie wymagania. Na tym polega podnoszenie ogólnej kultury i jej właściwego rozumienia na coraz wyższy poziom. Popularyzacja nie może być synonimem wulgaryzacji, jak się to dziś, niestety, często w praktyce dzieje. Słuszna walka z zaćmieniem mowy w naszej literaturze i poezji współczesnej nie może się odbywać kosztem głębszych i trudniejszych treści oraz być deklaracją na rzecz spłycającej wszystko, jasnej, lecz jałowej łatwizny i przystępności.

A propos powyższego radzę przeczytać dwie książki znakomitego krytyka i myśliciela, Wacława Borowego: „O Norwidzie" i „O Żeromskim" w nowym wydaniu PIW — i Leona Chwistka „Wielość rzeczywistości w sztuce" w wydaniu „Czytelnika". Słowo daję, trud się opłaci!

ALEKSANDER POSTOŁOW

KSIĄŻKA i teren

„Uprzejmie proszę o przysłanie mi książki „Tułacze" Kingstona za zaliczeniem pocztowym".

„Szanowny Panie Kierowniku! Słyszałem, że książka A. Dumasa „Kawaler de Maison Rouge" ukaże się niedługo w sprzedaży. Nie wiem czy dotrze do naszego miasteczka. Proszę przysłać".

„Uprzejmie proszę o łaskawe podanie dzieł Marii Rodziewiczówny wydanych przez Was".

„Czy w Waszym wydawnictwie można nabyć nowele Sienkiewicza?"

Sterty takich listów z mniejszych miast i miasteczek, osad takich jak Lwówek Śląski, Trzebinia, Ostrołęka, Słubice, Łowicz, Nysa, Zduńska Wola, Gorczenica, a nawet ze wsi, leży w Wydawnictwie Łódzkim. One to właśnie nasuwają refleksje na temat luk w rozpowszechnianiu książek. Okazuje się, że istnieje spora gromadka czytelników, tych z powiatowej Polski, do których „Dom Książki" nie dociera. A są to przecież czytelnicy zaangażowani, ci, którzy sami szukają książek, wprawdzie przeważnie lekkich i rozrywkowych. Wolno przypuszczać, że sprawa jest daleko poważniejsza, jeśli chodzi o czytelnika niezaangażowanego, tego, którego trzeba dopiero przekonać o tym, że książki warto czytać. Na podstawie własnych, choć przypadkowych doświadczeń mogę także stwierdzić, że książki tematycznie związane z określonym kręgiem odbiorców, przeznaczone dla określonego czytelnika, na ogół słabo docierają do miejsca przeznaczenia. Wiadomo na przykład, że Zakopane, środowisko wysokogórskich sportów, jest chłonne na literaturę alpinistyczną, zwłaszcza w okresie letnim. Wydaliśmy w swoim czasie wspomnienia Lecha Utrackiego pt. „Notatnik alpejski". W czasie urlopu odwiedziłem księgarnie zakopiańskie, rozmawiałem z księgarzem, który interesował się tego rodzaju literaturą. „Notatnika alpejskiego" w księgarniach zakopiańskich nie znalazłem, choć leżał i po dziś dzień leży w Składnicy Księgarskiej

Daleko boleśniejszy jest przykład *„Listów z parafii"* Babinicza. Boleśniejszy dlatego, że jest to książka walcząca z ciemnotą i zacofaniem prowincji. Książka ta miała wielkie szanse rozejścia się właśnie w Kieleckiem, ze względu na popularność autora, działacza oświatowego na tym terenie i zlokalizowanie fabuły. Tymczasem jak mi opowiadał autor, Waldemar Babinicz, książki tej ani w Kielcach, ani w województwie kieleckim nie ma. A w Składnicy Księgarskiej książka leży. Mógłbym mnożyć te przykłady. Świadczą one o tym, że książki przeznaczone dla najszerszego czytelnika, nie trafiają do odbiorcy i że słuszny jest żal „Polityki" (nr 4 z 1961 r.), która w notce „Nowości literatury reporterskiej" pisze m.in.: „Teraz właśnie ukazały się reportaże Tadeusza Papiera pt. *„Zielony szlak"* (Wyd. Łódź„ 1960, nakład 2.000). Obiektem nowego cyklu reportaży jest wieś najbardziej współczesna, ta z 1958—1959 roku, z jej wszelkimi, trudnymi problemami. Niestety, jak przewidywaliśmy, nakład tej książki jest niewysoki. I recenzji pewnie nie będzie, i reklamy żadnej nikt jej nie zrobi, niewielu recenzentów obchodzi problematyka wiejska" Żal jest słuszny, tylko trochę jednostronny. Jest bowiem adresowany do Wydawnictwa, do jego zbyt ostrożnej polityki nakładowej, ustalonej zresztą na podstawie opinii księgarzy, natomiast pomija niemniej istotną stronę zagadnienia, mianowicie kwestię rozpowszechniania książki. W naszym układzie stosunków instytucją monopolizującą w swoim ręku sprzedaż książki jest „Dom Książki". Od księgarza, od jego zamówień zależy, czy książka znajdzie się na półkach księgarskich, czy też nie. W wielkich miastach jesteśmy często świadkami dużego wysiłku księgarzy w dziedzinie upowszechnienia czytelnictwa, tylko że jest to często wysiłek idący w kierunku ilości, a nie jakości, to jest w kierunku największej sprzedaży, a nie forsowania określonej książki. Temu w gruncie rzeczy służą i liczne kiermasze, i wszelkiego rodzaju sprzedaże uliczne. Nie trzeba się dziwić, „Dom Książki" jest przecież przedsiębiorstwem handlowym, obliczonym przede wszystkim na zysk, i choć stawia przed sobą i swoimi pracownikami zadania oświatowe, to jednak układ stosunków w handlu z konieczności narzuca mu taki, a nie inny kierunek działania. Jeśli w wielkich miastach przedsiębiorstwo to nie zawsze może sobie poradzić z propagandą właściwie pojętego czytelnictwa, to cóż dopiero na głuchej prowincji, gdzie często księgarnie połączone są z handlem artykułami piśmiennymi. Trzeba przyznać, że sieć handlowa dociera z

książką nawet na głuchą prowincję, czy to przez sklepy GS, czy też przez listonoszy — kolporterów. Tylko że książki rozpowszechniane są na zasadach handlowych A czasem po prostu na „zasadzie" przypadku.

Oto przykład: kilka lat temu prasa podała, że w sklepie GS, w jednej z podłódzkich wsi leżało na półkach kilkanaście zakurzonych egzemplarzy *„Historii Rzymu"* Maszkina. Tymczasem książki tej, podręcznika uniwersyteckiego, poszukiwało bezskutecznie wielu studentów na terenie Łodzi. W tych warunkach, świadczących o bezmyślnym działaniu aparatu księgarskiego, trudno mówić o doprowadzeniu na wieś i do mniejszych miejscowości książki, która jest czytelnikowi wiejskiemu potrzebna. I choć chcemy wierzyć, że przykład należy do niesławnej przeszłości naszego handlu książką, tak jak zresztą do przeszłości należy system mechanicznie działającego „rozdzielnika", to jednak odłogiem leży najważniejszy problem — zdobywania czytelnika. Nie sądzę zresztą, aby istniejący aparat sprzedaży książki mógł tym zadaniom, zwłaszcza na prowincji podołać.

A tymczasem sprawa czytelnictwa, zwłaszcza zaś sprawa upowszechnienia książki popularyzującej wiedzę, jest problemem niezmiernie ostrym, jest jednym z elementów walki z zacofaniem, tak jeszcze nagminnym, zwłaszcza na prowincji. Problem zaostrza się z roku na rok. Istnieje zresztą i działa na terenie całego kraju mnóstwo instytucji i stowarzyszeń takich jak TWP, Uniwersytety Powszechne, ZMW, Kółka rolnicze, Związki Zawodowe, które krzewiąc wiedzę mogłyby i powinny połączyć to z krzewieniem czytelnictwa. Mogłyby — gdyby w pełni doceniły wagę problemu i gdyby księgarze w terenie, przełamując wewnętrzne opory, wynikające z ryzyka handlowego (księgarz płaci za zamawiane książki), weszli w kontakt z tymi instytucjami. Można byłoby wtedy połączyć akcje odczytowe ze stałą ekspozycją i sprzedażą książek odpowiadających tematowi prelekcji. Dzieje się to wprawdzie tu i ówdzie, ale są to dorywcze imprezy od „wielkiego dzwonu".

Istnieje przecież przedsiębiorstwo, które może dotrzeć do szerokiego odbiorcy książek. Tym przedsiębiorstwem jest „Ruch". Niestety, jest to instytucja czysto handlowa, a książki które rozpowszechniane są przez kioski, dobierane są przez kioskarzy pod kątem szybkiej sprzedaży. Dlatego widzimy w kioskach obok literatury dziecięcej, której wydawcą jest również „Ruch", różnego rodzaju kryminały i tanią literaturę rozrywkową, wątpliwej często wartości. A może i to przedsiębiorstwo włączyć w sensowny sposób do akcji upowszechniania dobrej książki?

Na estradzie pan w czarnym fraku wyczynia niepraw dopodobne wprost „cuda" z talią najzwyklejszych kart. Namiętni gracze wzdychają: „Taki to musi wygrać bajońskie sumy".

A tymczasem nieprawda. Kiedy ów pan zasiądzie przy brydżowym stoliku i weźmie do ręki kilka zwykłych kart, „tajemne moce" przestają działać. Dlaczego? Bowiem karty demonstrowane na estradzie wcale nie są „najzwyklejsze". Są to karty-rekwizyty. Jedna na przykład nie ma wcale tak zwanej „koszulki", tylko po obu stronach widnieją figury, na innej znów widzimy misterny rysunek do złudzenia imitujący dwie nakładające się na siebie karty.

W ogóle bardzo poważny procent popisowych numerów opiera się właśnie na odpowiednich rekwizytach. Dlatego też ośrodki kształcące iluzjonistów są w gruncie rzeczy i raczej przede wszystkim wytwórniami odpowiedniego sprzętu.

Cztery najpoważniejsze tego typu ośrodki noszące dumną nazwę Akademii Sztuki znajdują się w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Bardzo znana firma Hornnam Magic mieści się w Nowym Jorku przy 34 ulicy, a inna, nie mniej popularna „akademia", u Douglar Magic Land, egzystuje w mieście Dallas w Texasie. Niemieckie ośrodki wiedzy tajemnej to Akademia Horstera w Berlinie i Wilmanna w Hamburgu.

Owe wyższe uczelnie wiedzy tajemnej mają, to zresztą zupełnie zrozumiałe, bardzo ekskluzywny charakter. Zadaniem ich jest, oczywiście, nie nauczanie czarnej magii lecz jak byśmy to dziś powiedzieli, podnoszenie kwalifikacji iluzjonisty i to iluzjonisty bardzo zdolnego. Do każdej z tych uczelni dostać się niezwykle trudno. Ewentualny kandydat przechodzi przez szereg egzaminów na których musi udowodnić, że jest iluzjonistą z nerwem. Nic więc dziwnego, że liczba „studentów" na tych specyficznych uczelniach waha się zazwyczaj w granicach 6—10 osób.

Podobno idealnym dla wykonywania zawodu iluzjonisty typem psychicznym jest typ sangwinika i choleryka. Nieodzownym oczywiście jest także błyskawiczny refleks. Poza tym iluzjonista musi być wnikliwym psychologiem, dlatego też psychologia indywidualna zarówno jak psychologia tłumu, to jedna z ważniejszych dziedzin, jakie znać musi dobry prestidigitator.

W Polsce nie ma żadnej „uczelni czarnoksięskiej", jak również nie ma poważniejszych wytwórni rekwizytów. Kandydaci do zawodu uczą się zatem od swych starszych kolegów. Tak więc nauka ma charakter indywidualny, co chyba nie jest najgorsze, wyklucza bowiem niebezpieczeństwo standartyzacji. Adept „sztuki magicznej" ćwiczy, podobnie jak baletnica, przed lustrem, które mu momentalnie wykaże najdrobniejsze nawet uchybienie, najmniejszy popełniony błąd. A w ogóle nieustanne ćwiczenie jest podstawą zawodu iluzjonisty. Istnieją na przykład numery tak zwane zręcznościowe, które iluzjonista ćwiczy dosłownie latami, aby potem zadziwić zdumioną publiczność i usłyszeć zdanie: „przecież to jest fizycznie niemożliwe" — zdanie, które jest chyba największą pochwałą.

Napisałem w którymś z poprzednich felietonów że na występy iluzjonistów ludzie walą drzwiami i oknami. To prawda. Popisy czarnej magii mają naprawdę duże powodzenie. Kto wie, może stanowią one odtrutkę na racjonalizm i naukowość naszego wieku — wieku sputników i stacji międzyplanetarnych. To jednak przyjemnie doznać ta jemniczego dreszczyku w epoce, kiedy nauka wyjaśniła i skomentowała już niemal wszystko...

A co do iluzjonistów to ich również ujęto w urzędowe ramki. Tak, tak, nawet ci władcy „tajemnych sił", „królowie magii" itp. drżą przed groźnymi egzaminatorami w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Bowiem także iluzjoniści podlegają wyrokom przeróżnych komisji kwalifikacyjnych czy weryfikacyjnych.

Na zakończenie kilka liczb. Najstarszy polski iluzjonista pan Sitek ze Śląska liczy sobie ponad 90 lat. Łodzianin Kurzyński natomiast ma poza sobą 60 lat pracy na magicznym polu i został przez Radę Państwa odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. W Łodzi ponadto mieszka jeszcze 5 iluzjonistów o dźwięcznych pseudonimach (pseudonim otrzymuje się wraz z dyplomem po złożeniu egzaminów) jak: Artadoni, Corani, Ikso, Bengali czy Belachini. Dyplomowanych iluzjonistów występuje w Polsce 30, amatorów jest około setki. Rzecz dziwna jednak, że w naszych wypranych z wszelkiej tajemniczości czasach szeregi — i te zarówno zawodowców jak amatorów — rosną. Widać uroki magii są istotnie potężne.

Na podstawie relacji Tadeusza Paraszewskiego (Artadoni) napisał J. W.

ZBIGNIEW NIENACKI

„PRZYJACIEL LUDU" w łódzkim „Expressie"

Nie ma nic groźniejszego w życiu kulturalnym, niż pojawienie się w nim osobnika którego można by nazwać przyjacielem ludu, przyjacielem, oczywiście, w cudzysłowie.

Po czym poznać takiego przyjaciela?

Na prywatny użytek, w knajpie, w której bywa w kawiarni gdzie przesiaduje — jest człowiekiem bardzo oczytanym, lubiącym dzieła trudne i wyrafinowane. Na użytek publiczny zaś okazuje absolutną tępotę, jak by dopiero co ukończył kurs dla analfabetów. Pochwali każdą szmirę, bo „łatwo strawna, bo ludziom się będzie podobała". Zgani dzieło trudniejsze, ambitniejsze, ostro rozprawi się z każdym utworem, którego autor chciał ludzi zmusić do myślenia. Zdaniem przyjaciela ludu, nikogo nie trzeba zmuszać do myślenia, ludzie powinni pozostać na tym poziomie, na jakim się znaleźli dzięki takim, czy innym układom stosunków społecznych. Należy im dawać tylko już przeżutą i przetrawioną papkę intelektualną. Przyjaciela ludu niektórzy skłonni są uważać za rzecznika nowej polityki kulturalnej, gdy w rzeczywistości jest on jej zaprzeczeniem. Zamiast postępu w kulturze głosi on bowiem wstecznictwo i dlatego obcy jest nowej polityce kulturalnej, która już w swym założeniu postawiła przed sobą wielkie zadanie — upowszechnienie kultury, udostępnienie masom wszystkich najwybitniejszych wytworów ludzkiego talentu.

Jednego znanego mi przyjaciela ludu mogę pokazać palcem. Istnieje w cotygodniowym „Kramie" łódzkiego „Expressu Ilustrowanego", gdzie oprócz pseudoprzyjaźni dla mas czytelniczych pojawia się w dziwacznych recenzjach i wygłasza sądy, których niestety, nie można skwitować tylko wzruszeniem ramion. Nie można zaś czynić tego właśnie dlatego, że owe elukubracje ukazują się w piśmie o wielkim nakładzie, nastawionym na masowego czytelnika, często bezkrytycznego wobec poglądów głoszonych drukiem. Troska więc o jednoznaczną i czystą wymowę poszczególnych publikacji winna być w tej gazecie sprawą naczelnej wagi.

Odwiedziny u przyjaciela ludu zacznijmy od cotygodniowego felietonu Jerzego, zatytułowanego „Niedółki" (nr 5 tegorocznego „Ekspressu"). Czytamy o kłopotach Jerzego z kawiarnią „Agawa", w której bywają ludzie codziennie kupujący sobie butelki koniaku po ileś tam set złotych za butelkę. Czy jest to źle czy dobrze — zastanawia się Jerzy.

I odpowiada:

„Otóż moim zdaniem — dobrze. Jeśli jeden czy drugi „niebieski ptak" chce wydawać pieniądze w „Malinowej" „Casanovie" czy innej „Agawie", jeżeli może kupować sobie koniaki po ileś tam set złotych butelka i uprawiać temu podobne figle co dzień — niech uprawia. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie i jest nawet w pewnym sensie „sprawiedliwe", aby ktoś, kto ryzykuje drobny wyroczek, zaznał przed tym nieco przyjemności".

Oto słowa naprawdę godne przyjaciela ludu. Nie złość się robotniku z pensją tysiąc pięćset złotych miesięcznie, jeśli opryskała cię błotem nowa limuzyna znanego „handlowca", nie martw się, że masz wytarty garniturek i może krzywo na ciebie spojrzą w tej „Agawie". I choć ty wyliczasz sobie pieniążki czy kupić jeszcze jedną małą czarną, ktoś przy drugim stoliku szasta co dzień setkami złotych. Wszak — mówi twój przyjaciel z „Expressu" — tamtego brzydkiego pana Bozia kiedyś ukarze, a ty pójdziesz żywcem do nieba. Jeśli zaś nie boisz się kar nieba lub „wyroczku", kradnij również i również szastaj pieniędzmi, wszak za takie ryzyko coś ci się należy. Toczka w toczkę mawiał do mnie mój wujek, gdy w mych dziecięcych latach oprowadzał mnie po Łodzi i pokazywał pałace fabrykantów. Mówił: „— widzisz chłopcze, jakie to oni mają fabryki, jakie pałace. Ale nie zazdrość im, niech cię oni nie złoszczą; oni w tych pałacach są stokroć nieszczęśliwsi od twego ojca. Bo pomyśl chłopcze, twój ojciec ma kłopoty tylko z jednym fabrykantem, u którego pracuje. A ten fabrykant ma tysiące kłopotów z tysiącami swych robotników. Więc współczuj mu raczej, jest to człowiek najbardziej godny pożałowania". Tak mówił mój wujek. Ale to było jeszcze przed wojną. Nigdy nie sądziłem, że coś podobnego przeczytam 5 stycznia 1961 roku w łódzkiej gazecie.

Nie oburzajcie się więc widząc szastających pieniędzmi „niebieskich ptaków". Współczujcie im raczej, bądźcie dla nich wyrozumiali, to ludzie bardzo nieszczęśliwi, zatroskani, kto wie bowiem, czy któremuś z nich nie przydarzy się jakiś „wyroczek".

Powyższe sprawy z pozoru nie wiele mają wspólnego z życiem kulturalnym naszego miasta. Wspomniałem o nich tylko, aby unaocznić swoistą filozofię Jerzego. „Filozofię" tę jednak przenosi on na sprawy kultury i na ten bowiem temat stara się to i owo powiedzieć.

Oto próbka jego poglądów na dziennikarstwo. Próbka zaczerpnięta z felietonu z dnia 30 stycznia br.

„Ale, ale — dochodzą, proszę ja was, coraz to liczniejsze głosy, mówią o tym nauczyciele, wyniki ankiet, listu, że bardzo wielu, o wiele więcej niż kiedyś, młodych ludzi zapytanych o wybór zawodu, mówi, że chciałby zostać dziennikarzem. Co tu dużo gadać — sam znam jednego chuligana (tak, ex-członek pewnej bandy), który mówi: — Zmarnowałem życie, narozrabiałem co niemiara, ale gdybym mógł zacząć od nowa, na pewno zostałbym dziennikarzem. W tym zawodzie można się wyżyć lepiej niż w bójkach po bramach. Jest to piękny komplement, a zarazem szczera prawda. Tak, w naszym zawodzie można się wyżyć".

Otóż nie, nie wierzcie Jerzemu, że dziennikarstwo to takie samo chuligaństwo, tylko że bez rozlewu krwi po bramach. Dziennikarstwo — to ciężka, odpowiedzialna praca wymagająca nieustannie kształcenia i samokontroli zdarza się że nawet bardzo zdolny człowiek szybko się w w tej pracy marnuje i wykrusza.

A teraz, skorośmy już poznali poglądy Jerzego na sprawy społeczne i jego własny zawód, przypatrzmy się co ma Jerzy do powiedzenia o kulturze.

W numerze 12 przeczytać można recenzję Jerzego z tomiku poezji pewnego łódzkiego pisarza. Jest to recenzja dziwaczna, ponieważ nie ma w niej najmniejszej próbki uzasadnienia czy wiersze są dobre czy złe. Najpierw znajdujemy duży wstęp, z którego nic nie wynika. Rozumie to także Jerzy, skoro zaznacza:

„Wszystko co wyżej powiedziałem, nie dotyczy wszelako autora recenzowanego tomiku. Są zapewne wiersze dobre i złe — o tym rozstrzygają znawcy przy czarnej kawie — ale są również wiersze, które się lubi i wiersze, których się nie lubi".

Zaiste, co za odkrywczość! Są wiersze, które się lubi i te, które się nie lubi, są kobiety ładne i są kobiety brzydkie. Ale czyż o tym należy aż pisać w gazecie? A skoro Jerzy poza kilkoma banałami nie ma nic do powiedzenia, to może lepiej jednak, ażeby o wierszach napisał któryś ze *„znawców przesiadujących przy czarnej kawie"*

Teraz Jerzy wygłasza swój „pogląd" na nowoczesność w poezji. Za wiersz nowoczesny — pisze — na *„roboczo" rzecz jasna rozumiem wiersz bez rymów, bez rytmu i bez jasno wyłożonej treści myślowej*". Otóż nawet „na roboczo" takich bzdur nie należy publikować w piśmie dla masowego czytelnika, dla którego być może ten „Express" jest jedynym źródłem informacji o poezji.

Jerzy jest oczywiście przeciw „nowoczesności" bo powiada, że jak tylko opublikuje jakiś nowoczesny wiersz zaraz dostaje obelżywe listy od czytelników. Jak to pogodzić z faktem, że o kilka numerów wstecz spotykamy w „Expressie" wielkimi czcionkami złożony nadtytuł „Młodzież lubi nowoczesność"? Albo, że pisało się w tymże „Expressie" pochwalne artykuły o abstrakcyjnym malarstwie. Więc ja się pytam: kiedy skończy się sianie zamętu wśród Czytelników którym każe się wielbić nowoczesną fotografię, być za nowoczesną plastyką, a przeciw nowoczesnej poezji? Okazuje się, że to nie twórcy w „Honoratce" kichają sobie na odbiorców — jak pisze Jerzy — ale Jerzy i chcąc nie chcąc redakcja kichają sobie na czytelników. Kicha ją zamiast rękawy zakasać i napisać artykuł przystępny i jasny, jak rozumieć nowoczesną poezję.

Stwierdza Jerzy:

„i choć są w poezji Tadeusza Chróścielewskiego również i tony trudniejsze, uczciwie powtarzam, że lubię ją".

A więc Jerzy lubi tylko tony „łatwe"? „Trudniejsze" dyskredytują się w jego oczach. Innymi słowy jest to publiczna pochwała łatwizny.

Naprawdę nie rozumiem, jak dzisiaj podobne poglądy znajdują miejsce w gazecie o masowym nakładzie. Gazeta, która przecież ma uczyć ludzi wychowywać ich, prowadzić za rękę od książek łatwiejszych do książek trudniejszych. Nie chwalić łatwiznę, ale uczyć jak rozumieć zagadnienia trudniejsze tak, jak to czyni prawdziwy przyjaciel, a nie przyjaciel fałszywy. Cały nasz ustrój nie jest sprawą „łatwą" lecz „trudną" że chcemy wychować pokolenia nawykłe do łamania trudności a nie do „łatwizny". Podobnie jest w sprawach kultury. Uczy się alfabetu od A, B, C, ale przecież kończy się na Ż. Jakże nazwać tego, kto chciałby masy zatrzymać na trzech pierwszych literach wspaniałego alfabetu kultury światowej. Nikt nie każe poszczególnemu redaktorowi propagować Kafki czy Witkacego, ale też nikt nie ma moralnego prawa budzić w czytelnikach nieufności do wszystkiego, co zmusza do myślenia, co jest trudniejsze.

Jeśli stawiamy przed twórcami żądanie literatury zrozumiałej w szerokich kręgach czytelniczych, to wcale nie znaczy, że rezygnujemy z „trudniejszej" i nie znaczy to także, że owa literatura zrozumiała w szerokich kręgach czytelniczych będzie „łatwa", schlebiająca gustom mniej wyrobionych odbiorców. Gdyby tak było, w masowych nakładach drukowalibyśmy Mniszkównę, która na pewno rozeszłaby się natychmiast, a przecież tego nie czynimy. Mniszkówna podobałaby się zwanym przez „Express" *„masom potencjalnych odbiorców"*, ale czyż to znaczy, że jest dobra? Dlatego argumentacji, że coś się „masom podoba" lub „nie podoba" należy używać ostrożnie, z rozwagą.

Zachęcamy nieraz twórców do podejmowania w swych utworach tematów tak zwanych „niepopularnych", lecz koniecznych ze społecznego punktu widzenia, bo wyjaśniających istotne problemy naszego czasu. Jest zadaniem gazety cierpliwie i umiejętnie wyjaśniać sprawy trudne, nie padając plackiem przed złym gustem niektórych swych czytelników umieć przekonać ludzi do dobrej książki, do dobrego przedstawienia.

Nie można uważać za osiągnięcie gazety napisanie panegiryku ze spektaklu teatralnego obliczonego na załatanie nadwątlonej kasy, bo i bez tego panegiryku ludzie odwiedzą ten spektakl. Sztuką jest napisać tak o trudniejszym spektaklu, aby stał się on zrozumiały dla szerokich kręgów odbiorców i zapełnił widownię. Osobiście nie widzę aż tak wielkiej potrzeby „szarpaniny" wokół przedstawienia „Serca w matni" w Teatrze Powszechnym, jak to się stało na łamach łódzkiej prasy. Nie należało tej sztuki ani tak bardzo ganić, ani chyba tak bardzo bronić i chwalić, a raczej potraktować milcząco, jako sprawę wstydliwą. Skoro już bowiem tak niestety jest, że teatry muszą ratować swą kasę, to nie budujmy z tego powodu barykad, nie powiewajmy sztandarami, nie wznośmy głośnych okrzyków „za" i „przeciw". Starajmy się raczej, aby na lepsze sztuki więcej chodziło publiczności. Bo to jest właśnie nasze zadanie.

Jerzy z „Expressu" był oczywiście „za" kiepskim spektaklem, bo jakże mogło by być inaczej. Ma on ostatnio coraz gorszy gust, czego dał dowód zachwycając się wierszami Wł. Strzeleckiego i sobą samym, co uwidocznił w felietonie „Z własnego podwórka". Nadmienia tam o wrażeniu jakie czyni na ludziach, gdy dowiedzą się, że to on jest właśnie onym słynnym „Jerzym". Czytuję:

„Oglądają mnie jak rzadkie zwierzątko, szczególnie piękne dziewczęta dziwią się ogromnie i przyglądają z niedowierzaniem. Ani to — to przystojne, ani z „myślącym czołem" nie imponuje, ani w ogóle nic. Zwykłe bujanie gości — albo ten Jerzy nie jest Jerzy, albo — co gorsza — to co ten Jerzy pisze nie jest nic warte".

Raczej to ostatnie. Nie jest nic warte. Okazuje się, że nasze łódzkie dziewczęta mają bardzo dużo rozsądku. Szkoda, że to nie one redagują „Kramik" w „Expressie".

P.S Wszystkie cytaty zaczerpnięto ze styczniowych numerów „Expressu". Podobne felietony „Jerzy" pisuje od kilku lat...

JERZY WILMAŃSKI

WRZESIEŃ

Były małe znużenia był być może pot
Dymiły kartofliska jak zawsze jesienią
Kiedy biegnie spocony bury źrebak upału

Może były i klęski powodzie i susze
Katastrofy lotnicze pod niebem bezchmurnym
Albo śmierci wątpliwe popalonych książek

Wiem że były znużenia to w końcu wystarcza
Znużenie zamknąć można w dłoni albo urnie
Nie słyszeć więcej pisku przerażonych ptaków

* * *

ten czas sypki wymierny jest szczeliną pewno
szparą w ciężkiej kurtynie pauzą po akordzie

a może przed akordem minutą wytchnienia
dla widza instrumentu deszczu listopada

ten czas jest przerwą w czasie to brzmi jak paradoks
lecz nie jest paradoksem czynność umierania

widownia niecierpliwie skrzypi fotelami
czekając na ostatni orkiestrowy akord

* * *

Te śmierci przychodzą z uderzeniem zegara
z wróblem na parapecie z kwietniem

To są śmierci przygodne śmierci przypadkowe
szklanka nocą stłuczona w godzinie przesytu

Zgubiona spinka czy zgubiony fragment
zdarzeń niewielkich i sypkich jak piasek

Te śmierci przychodzą nagle w porze oczekiwania
gdy zgrzyt miasta dosięga wierzchołków południa

Nam wtedy brak odwagi nie chcemy ich dostrzec
i śmierci wymieniamy na gesty najprostsze.

ŁÓDŹ W FOTOGRAFII

Fot. H. Powierża

Ul. Nowomiejska

KRZYSZTOF POGORZELEC

„RENAULT“: co roku 560 tysięcy samochodów i kilkuset zwolnionych robotników

USA: milion wozów na składzie!

BRUKSELA: Uwaga! — radzieckie niebezpieczeństwo!

SALON MARZEŃ i ROZCZAROWAŃ

„Junak 350“. W niezmiernie trudnej dla zawodników i maszyn próbie — „Sześciodniówce 1960“ dał sobie z powodzeniem radę z wieloma przeszkodami. Fot. W. Rozmysłowicz

Zachodnio-europejskie agencje prasowe raz po raz publikują alarmujące doniesienia: NAJWIĘKSZY FRANCUSKI WYTWÓRCA SAMOCHODÓW — FIRMA RENAULT ZMNIEJSZYŁA SWOJĄ PRODUKCJĘ DO 560 TYS. SZTUK AUT ROCZNIE I ZWOLNIŁA KILKUSET ROBOTNIKÓW. STANY ZJEDNOCZONE ROZPOCZĘŁY WYRABIAĆ MAŁOLITRAŻOWE WOZY, MILION AMERYKAŃSKICH SAMOCHODÓW OCZEKUJE KUPCÓW „NA SKŁADZIE“ PO RAZ PIERWSZY ROSJANIE W BRUKSELSKIM SALONIE AUTOMOBILOWYM. I podtytuł: RADZIECKIE „WOŁGI“ „SCALDIE“ ORAZ „ZAPOROŻCE“ NA SZOSACH EUROPY. DLA WSZYSTKICH, PO KONKURENCYJNIE NISKICH CENACH!

Największa rewelacja salonu motoryzacyjnego kryje się w metalowej puszce. Jest to pasta o nazwie „Epidian 410“ środek służący do wygładzania karoserii samochodów i zapewniający nadwoziom idealnie gładką powierzchnię, dodatkowe zalety — zupełnie eliminuje niebezpieczeństwo zapadania robotników wykonujących tę pracę na ciężką chorobę ołowicę i — ogranicza zużycie cyny. Wynalazcy inż. inż. K. Dąbrowski i W. Laskowski.

To pomruki wielkiej batalii jaka ostatnimi laty rozgorzała na samochodowych rynkach zmotoryzowanej i toczącej się na czterech kółkach Europy. I chociaż w Polsce bardzo powoli „wydobywamy“ się z chorobliwego stanu narodowego obmacywania i leżenia plackiem pod maską co większego amerykańskiego „krążownika szos“ nie mniej w dalszym ciągu 28 milionów Polaków ma jednolite hobby: SAMOCHÓD. Oczywiście — WŁASNY. Smyk mojego sąsiada nie zna wprawdzie wszystkich tajemnic tabliczki mnożenia, ale za to różne Fiaty, Volksvageny i Renaulty to dla niego chleb powszedni.

Niestety — rozczaruję was. Bo tutaj nie będzie mowy o wielkich potentatach automobilowego królestwa, nie będę pisał o Fordach, Citroenach czy Panhardach, lecz ... o polskich samochodach!

— Z czym do gości — usłyszałem w odpowiedzi na oświadczenie, że wybieram się do Warszawy by obejrzeć zorganizowany tam przez Zjednoczenie Przemysłu Motoryzacyjnego oraz Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Mechaników Polskich pierwszy powojenny salon samochodowy.

Rzeczywiście. Jeżeli wierzyć statystyce w roku 1938 po polskich drogach jeździło 29 tys. aut osobowych, gdy w tym samym czasie fabryki USA rzucały na rynek amerykański około miliona wozów w ciągu roku. Ludzie mocni w arytmetyce obliczyli, że 23 lata temu na jeden samochód osobowy przypadało w naszym kraju 1320 osób. Z ciężarówkami i autobusami było jeszcze gorzej bo wskaźniki przedstawiały się odpowiednio: 3.700 — 15.850 osób na jeden pojazd. Słówko jeszcze o motocyklach jako, że od nich zaczyna się motoryzacja: w roku 1937 co 2.700-ny Polak posiadał „dwa kółka“.

Liczby są bezlitosne: w dziedzinie samochodowo-motoryzacyjnej cywilizacji byliśmy ogromnie zacofani występowaliśmy w roli osesska, przed którym — jak się to zwykło mawiać — dopiero otwierają się szerokie perspektywy i drogi. Te ostatnie dosyć wyboiste...

„Osy“ otrzymają karoserię z mas plastycznych. Jak twierdzą fachowcy będzie ona wytrzymalsza i bardziej praktyczna od stosowanej obecnie.

W roku 1939 produkowaliśmy okrągłe „nul“ czyli zero samochodów nie licząc oczywiście montażu t. zw. „Polskich Fiatów“. W dwadzieścia lat później dzięki Żeraniowi pracownicy Głównego Urzędu Statystycznego w Warszawie mogli zapisać — 11,5 tys. „Warszaw“ w ciągu jednego roku. Mimo to nasz samochodowy dorobek nadal nie wygląda nazbyt imponująco w porównaniu z takimi automobilowymi potęgami jak Stany Zjednoczone, które potrafiły w roku 1958 wyprodukować 4.258 tys. sztuk samochodów osobowych, NRF chwali się liczbą 1.181 tys. a z linii montażowych radzieckich fabryk schodzi co roku blisko 150 tys. „Czajek“, „Wołg“ i „Moskwiczów“.

Okazuje się, że eksportujemy sprzęt motoryzacyjny do Stanów Zjednoczonych. Podobno kupcy amerykańscy zamówili u nas partię... rowerów specjalnie dostosowanych do gustów amerykańskich odbiorców. Zamówienie na — 10 tys. sztuk.

Nasz obecny dorobek, patrząc przez pryzmat świata, awansuje Polskę zaledwie do samochodowego... przedszkola. Bądźmy jednak optymistami. Planiści już nawet przewidzieli: w nadchodzącej Pięciolatce wyprodukujemy 150 tys. sztuk samochodów ciężarowych, 110 tys. „osobówek“, ekonomiści twierdzą, że będziemy jeździć wygodniej autobusami PKS i miejskiej komunikacji, bowiem na jeden autokar przypadnie w roku 1965—1.500 osób. Przypominam — 22 lata temu ponad 15 tys. osób! I słówko o motocyklach. Co 24 Polak będzie posiadaczem własnego „motoru“.

— Co z tego— w tym miejscu oddaję głos Czytelnikom, — jeżeli ta cała nasza motoryzacja będzie się w dalszym ciągu, mimo ilościowego wzrostu, składała z samochodów „niewypałów“ albo wręcz nieporozumień w rodzaju „Mikrusa“, nieszczelnych i skandalicznie źle wykończonych „Syren“, których obecna zewnętrzna powłoka wygląda jakby była dziełem kowala.

Dla pokrzepienia serc wszystkich, którzy choruja na własny i dobry samochód wyciągam spod warszawskiej „lady“ nowinki i myślę, że zainteresują one samochodziarzy.

Fot. W. Rozmysłowicz

Więc — jeszcze do roku 1963 „Warszawa“ otrzyma nowy silnik górnozaworowy o zwiększonej mocy, a niedługo potem — czterostopniową skrzynię przekładniową. Zostaną także ulepszone hamulce, t. zw. tylny most oraz wały pędne. Niestety o nowym nadwoziu, które jakoby miała już przygotowywać włoska firma Ghia — jakoś cisza...

Największą jednak rewolucję przejdzie „Syrena“. Trzycylindrowy silnik dwusuwowy, zsynchronizowaną czterostopniową skrzynię biegów, zawieszenie na drążkach wkrętnych, amortyzacja kół tylnych na teleskopach, zupełnie nowy układ zmiany biegów i odmieniona karoseria to są wszystko prezenty polskich konstruktorów dla tego wozu.

„Warszawa“ w odmianie „Pick-up“ czyli furgonetka będzie miała powiększoną nośność do 700 kg, tę samą operację przejdzie mały ciężarowy „Żuk“, który uwiezie nawet półtorej tony. Ludziom i przedsiębiorstwom, którzy zawodowo zajmują się ciężkim transportem dedykujemy następujące informacje: poczciwy „Star“ w ciągu 5 lat zamieni się w „Star 200“ i przy okazji otrzyma mocniejszy silnik wysokoprężny, z łatwością przewiezie 5-tonowe ładunki, najnowsze „ciężarowe“ dziecko polskiego przemysłu motoryzacyjnego — „Żubr“ otrzyma ulepszoną kabinę dla kierowcy przy jednoczesnym zmniejszeniu ogólnego ciężaru wozu. Ukaże się także ulepszony model wywrotki trzystronnej, ciągnik t.zw. siodłowy, który wraz z 10-tonową przyczepą pozwoli tworzyć pojazd o ładowności 18 ton. Natomiast dobry znajomy podróżnych korzystających z usług PKS — „San“ wyposażony będzie w wysokoprężny silnik, a w próbach znajduje się już nowoczesny autobus dostosowany do komunikacji miejskiej. Nie zapomniano także o ewentualnym eksporcie polskich samochodów: autobusik „Nysa“ otrzyma wyposażenie niezbędne w krajach tropikalnych.

Czy wiesz ile samochodów przypada na 100 mieszkańców naszego kraju? Dokładnie — 0,4. Ten sam wskaźnik dla Francji wynosi 20,8, dla Anglii 20,4, NRF — 23,1 a dla Stanów Zjednoczonych 24,4.

* * *

Miałem jednak pisać o pierwszym powojennym salonie polskiego przemysłu motoryzacyjnego...

Właśnie. Te wszystkie informacje zdobyłem od organizatorów tego salonu, który został urządzony w salach Muzeum Techniki w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki. Można tam zobaczyć „okazowe“ egzemplarze tych wszystkich samochodowo — motoryzacyjnych nowinek i — tłumy warszawian walą na tę wystawę niczym jak do Muzeum Narodowego na ekspozycję „kanadyjskich“ arrasów.

I — przepraszam, że szargam narodowe świętości — w obu przypadkach ludzie wychodzą nieco zawiedzeni. Bo jeżeli chodzi o arrasy to zbyt dosłownie przyjęto dla nich pojęcie „skarby“ a znowu samochodziarze i przedstawiciele licznej rodziny posiadaczy motocykli spodziewali się znaleźć w salonie odpowiedź na pytanie kiedy wymienią hałasujące „Mikrusy“ lub niedbale wykonane „Syreny“ na elegenckie i dobre pod względem technicznych wozy. Odpowiedź — niestety — znajdują tylko częściowo. W pełni jedynie zadowoleni mogą być właściciele lub kandydaci na posiadaczy własnych rowerów. Salon prezentuje pełen wachlarz tego środka lokomocji począwszy od modeli turystycznych aż po wyścigowe „Jaguary“.

Raduje się dusza na widok odszykowanej na wysoki wystawowy połysk „Syrenki“. Ale zaraz rodzi się pytanie czy te nowe obiecywane w Pięciolatce samochody będą równie piękne i sprawne pod względem technicznym? Obecna praktyka polskiego przemysłu motoryzacyjnego każe raczej powątpiewać i co tutaj dużo mówić — polskie samochody nie mają dobrej opinii u swoich odbiorców. Człowiek, który wykłada ze swojej kieszeni 70 i więcej tysięcy złotych na samochod chciałby wiedzieć czy otrzyma w zamian prawdziwy „czar czterech kółek“ czy też ów „czar“ będzie tylko złudą, o tyle materialną że przebywającą... w warsztatach remontowych. Niestety — salon na to pytanie nie daje odpowiedzi.

Szkoda, prawda?

Fachowcy radzieccy, którzy przyjechali do Warszawy wyrażali się z dużym uznaniem o polskim wynalazku — elemencie zastępującym resor. Projektantem tego urządzenia jest inż. Adler.

Motoryzacja zaczyna się „od rowerów“. Czar dwóch kółek też może być urzekający, tym bardziej jeżeli ma się do dyspozycji taki wybór: od „spacerowca“, aż po wyścigowego „Jaguara“

Fot. W. Rozmysłowicz

STANISŁAW CZERNIK

OD RZEKI PERŁOWEJ DO JANGTSE

Pociągiem pośpiesznym z Kantonu do Wuhan. Podróż trwa dwadzieścia siedem godzin. Jedzie się z południa wprost na północ, od Zwrotnika Raka ku mniej ciepłym strefom Chin Środkowych. W czasie podróży chińskiej ciągle odczuwam niedosyt krajobrazu. Zwiedzanie miast, i to w dodatku miast-olbrzymów, wywołuje wyraźną jednostronność wrażeń, pewne zachwianie proporcji, czego nie wyrównują doraźne wypady do komun, zawsze leżących blisko miast. Szczególnie brakowało mi krajobrazu w podzwrotnikowym Kantonie, właśnie ze względu na zwrotnik, granicę między strefami klimatycznymi. Krajobrazy parkowe, którymi szczyci się Kanton, przynosiły mi tylko połowiczne zadowolenie. Myślałem o dżunglach, których zresztą w pobliżu nie było, o tropach tygrysa, o nieprzejrzanych zaroślach bambusów, o utajonych wężowiskach. Wzmógł się niedosyt. Nie zaspokoiła go w niczym przejażdżka po Rzece Perłowej, otwierająca z jednej strony widok na miasto, z drugiej — na przedmieścia.

Obserwacja krajobrazu z okien pociągu może przynieść częściowe zadośćuczynienie. Daleko mu oczywiście do pełni, która wymaga spokojnych spotkań, wybranych postojów, swobodnej kontemplacji. Nie mniej w pewnym stopniu przegląd migających obrazów pozwala uchwycić taki charakter szczegółów, by wiązać wrażenie w logiczne układy.

Salonka zamyka skład pociągu. Cała przestrzeń za nami dostępna oku. Wybieram ostatni fotelik i zdaje mi się jakbym siedział w gnieździe bocianim pod szklanym kloszem. Wagon kołysze się lekko i drga, potęguje się wrażenie rozfalowanego krajobrazu za oknami. Wiszę niejako nad doliną biegnącą wstecz. Rzeka — szara wśród zieleni. Zagajniki nieznanej, egzotycznej roślinności. Nie utrzymują się długo. Ustępują miejsca górom. Jakie spokojne stożki! Łagodne i nagie, w słońcu lśnią brązem, chciałoby się powiedzieć — opalenizny, to znów gdzieniegdzie zdają się łuszczyć ametystem. A nad tym góra, jak wielki skamieniały żółw o różowej skorupie. Rzeka stopniowo zatraca szarość, rozjaśniają ją strumyki z gór, pewnie wkrótce nabierze podobnego błękitu. Zza zakrętu wyskakują drobne sosenki. Ubogie, karłowate, stare znajome. Aż chciało się je powitać zdumieniem: i wy tu, pod zwrotnikiem?

Upatruję ludzi. Mało ich w tych górach. Po rojowiskach Kantonu wrażenie bez ludzia. Stacja. Dwie, trzy osoby. Cisza, znana cisza polnych i górskich stacyjek. Słychać brzęczenie przelatującej za oknem pszczoły. Gorąco, a przecież już grudzień. Jeszcze nie przyszła pora deszczów, jeszcze trwa posucha. Rzeka wysycha, ledwie pełznie drobnymi strugami, jakby ostatkiem sił. Wyschniętym piaskiem lśni zwycięskie dno.

Dalej. Wreszcie wieś. Innego typu niż znana mi wieś z prowincji Anhui. Tu domki murowane z prawdziwego kamienia lub cegły, nie z gliny, pokryte dachówką zamiast strzechy. Trochę pól ryżowych czekających na wodę. Egzotyczne krzewy południowe. Nagle zazieleniły się góry gęstwiną leśną, jak u nas. Na chwilę. Znowu wracają bezdrzewne krajobrazy. W dali białe miasteczko przypominające wyglądem osady maurytańskie w górach Atlasu. Brak tylko minaretu. Na rzece dżonki, niektóre dymią, co pewnie oznacza porę gotowania posiłku. Cegielnia, obok niej rój ludzi. To znak czasu. Wpadamy w zarośla nadrzecznych bambusów. Kilometrami. Aż wyskakuje na wzgórku mała pagoda, po prostu — pagódka o trzech kondygnacjach I znowu bambusy. Stacyjka, maleńka przystań rzeczna, stateczki, dżonki, rybacy. Coś nowego — trochę sadów, dojrzewające mandarynki. Jeszcze jedna pagoda. Aż wreszcie rzecz nowa — osada przemysłowa, ruch, buduje się domy, jakieś nasypy, cegielnia, cementownia, mrowisko. To nowe Chiny wtargnęły do gór.

Z prowincji Kuangczou przenosimy się do prowincji Hunan. Jakby na pożegnanie — zmiana w kolorycie gór. Obok różowych zjawiają się stalowe, żużlowe, czarne, wreszcie formują się w potężne bloki, przypominające twierdze, grody, okrągłe świątynie, olbrzymie kolumnady. Otwiera się inny świat. Inne góry, inna rzeka, inna dolina. Od razu widać — kraina ryżu. Mnóstwo pól pod wodą. Tu i ówdzie porusza się jakby w bajorku pracowity wół. Kraj ludny. Tu widać jak podgórne pustki wydziera się nędznym zaroślom i przemienia w uprawne pola Z komun ludowych wyległo mrowie ludzi, przeważnie kobiety. Tną krzewy, usuwają korzenie, kopią, ryją, odłogi i nieużytki znikają. Po kilkunastu minutach — podobna masa chłopów rwie podgórze. Znowu kilkanaście kilometrów i podobne widowisko.

Zbliża się wieczór. Na polach widać dymy i ogniska. Palą ściernie ryżowe. Nastrój jesienny, bliski moim wspomnieniom. Szybko zapada mrok Opuszczam „gniazdo" obserwacyjne.

Rano — koniec podróży. Wita nas nowy, potężny most na Jangtsekiangu w Wuhanie.

* * *

Wuhan jest właściwie trój miastem, łącząc trzy rozdzielone Jangtsekiangiem i dopływem Hanszui miasta: Wuczang, Hankou i Hanjang. Stolica prowincji Hupei, liczy dwa i pół miliona mieszkańców. Niegdyś stanowiła ważny ośrodek eksploatacji zagranicznej, czego wyrazem były tzw. koncesje czyli autonomiczne obszary wydzielone dla cudzoziemców, podobnie jak w Szanghaju i Kantonie. Port rzeczny na Jangtsekiangu spełniał zadania wymiany. Droga żelazna łącząca miasto z Pekinem i Kantonem. Skrzyżowanie ważnych dróg wodnych i lądowych uczyniło z Wuhan znaczny ośrodek handlu. Dużym mankamentem komunikacji był brak mostu. Zastępowały go promy. Toteż obecnie największą dumą i radością Wuhan jest most na Jangtsekiangu.

Most powstał w latach 1955—1957. Ale atmosfera budowy, to znaczy jej entuzjazm w zmienionych formach ciągle tu żyje. Most, nasz most, niemal nasz kochany most. Jest wyrazem dumy narodowej. Niemożliwe, aby Chiny zdobyły się na taki most — głosiła opinia anglo-amerykańska: — to ponad ich możliwości techniczne. I oto most, zaprzeczenie, odpowiedź. I to jaki most. Jeden z najnowocześniejszych mostów na świecie. To słyszałem w Wuhanie. Ten most rozbroił już nie jeden kompleks niższości, oddziedziczony przez wielu starszych Chińczyków. A nie wykluczone, że wbijając w wielką dumę, poprzez przesadna interpretację, łącznie z innymi osiągnięciami może przyczynić się do zawiązania kompleksu przeciwnego.

Zwiedzamy „świątynię mostu", przyjmowani w pięknej sali recepcyjnej przez dyrektora instytucji Zjeżdża się windą, nieomal w podziemia u fundamentów budowli. Zaraz podają herbatę, a dyrektor udziela informacji, kreśli historię budowy i wylicza najpotrzebniejsze dane statystyczne. Fotografie, albumy i znaczki pamiątkowe. Wracamy na górę, by przejść przez słynny most na drugi brzeg. 1670 m. Przyjemnie patrzeć z wysoka w mętne wody Jangtsekiangu i myśleć: a jednak zastałaś osiodłana, trudna rzeko! Na przeciwnym brzegu, jakby wykrzyknik szczęśliwego zakończenia, smukła kolumna z triumfalnym napisem skreślonym przez Mao Tse-tunga.

Wkrótce potem na godzinę opuszczamy wiek nowy. Klasztor buddyjski. Wydaje nam się reliktem zamierzchłych czasów. A jednak żyje nadal, przystosowując się do zmienionych warunków. Wita nas przełożony klasztoru w imieniu stu dwu mnichów. We wstępnym przemówieniu podkreśla przełomowe znaczenie wyzwolenia narodowego i wielką rolę partii w budowie Chin Ludowych. Z czego żyje tak liczne zgromadzenie? — Z posług religijnych. A oto nasze ogrody i pola — wskazał ręką. Wstępujemy do wnętrza. Pawilony, domki, przybudówki, dziedzińce. Drzewa, kwiaty. Tu i ówdzie postać zakonnika.

Przed pawilonem gry na lirze w Wuhanie

W głównej kaplicy — wielki posąg Buddy. Żarzy się kadzidło. Jakieś dalsze przybytki sakralne, o których nie mamy pojęcia. Jest też muzeum klasztorne, osobliwe przedmioty kultu. Cała ściana zajęta przez księgi święte. Niegdyś Kuomintang obrócił klasztor na koszary. Żołnierze wiele zniszczyli, niejedna cenna rzecz zginęła — wzdycha mnich. Wchodzimy do sali zapełnionej tłumem posągów. Co to? Uczniowie i towarzysze Buddy. Pięćset posągów. Wszystkie dziełem jednego artysty-mnicha, wykonane przed dwustu laty. Zrobione z gliny i masy papierowej, pokryte laką. Pasja twórcza z pogranicza ekstazy i szaleństwa. Artysta zadał sobie niemały trud. Pragnął jak najbardziej indywidualizować posągi. Toteż jedna postać nie podobna do drugiej, przynajmniej jeżeli chodzi o rysy twarzy i strój. Podobno pracował nad całym zbiorem tylko dziewięć lat. Obecnie stoją ustawione rzędami w wielkiej sali na sposób czworoboku, co przypomina — postać przy postaci, głowa przy głowie — jakby skamieniałą rzekę świętych i apostołów, którzy pierwsi pojęli nauki Przebudzonego czyli Buddy. Nie jest to tylko zbiór muzealny. Przed niektórymi posągami tli się kadzidło. Skąd to wyróżnienie? Wyznawcy mają swoje ulubione rzeźby. Od czasu do czasu ktoś przychodzi i zapala kadzidło przed wybranym posągiem. Niektórzy nawet dbają o ich wygląd zewnętrzny. Odnawiają je przez pokrycie świeżą laką. A może to robi sam artysta, jeśli w następnym wcieleniu zjawił się na świecie jako chłop lub robotnik.

Z klasztoru udajemy się do zabytku, który najchętniej nazwałbym świątynią legendy. Jest to „pawilon gry na lirze". Istotnie poświęcony legendzie, której bohaterem jest muzyk. Gry jego nie rozumieją słuchacze. A więc muzyk-odkrywca, twórca nowych form, wiecznie niespokojny duch artysty szukającego pełni! Nie ma słuchaczy, ale wystarcza mu jeden jedyny, który pojął i pokochał jego trudną muzykę. Ma więc dla kogo tworzyć, ma komu grać. Niestety, jedyny słuchacz umiera. Twórca rozbija lirę o grób. Pieśń jego zgasła, nie wskrzesił jej więcej. Należy tu doszukać się analogii do samobójstwa, które lud chiński — w przeciwieństwie do naszych pojęć — ceni jako święty akt męczeństwa. Legendarny muzyk zasłużył na świątynię.

Uroczy jest ten pawilon — z rogatym fantazyjnym zagięciem dachu, z przyciągającą kolorystyką rzeźbionych okapów, otoczony ogrodem, w którym drzewa, kwiaty, trawniki i głazy stwarzają ustronne zacisze — dla myślicieli i artystów. We wnętrzu — biblioteka i czytelnia w idealnym utrzymane porządku. W momencie naszych odwiedzin czytelników nie było. Trzeba iść dalej. Odchodzę z niedosytem. Zostałbym tu na kilka dni. Zwierzam tę myśl chryzantemom.

MIROSŁAW OCHOCKI

„Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie?"

„Obrona Ksantypy". Jadwiga Andrzejewska (Ksantypa) i Janusz Kłosiński (Sokrates)
Fot. G. Puciato

Tak przed stu laty rozsądnie pytał Norwid — a oto znów zacnemu mędrcowi greckiemu nie dają spokoju. Tym razem jednak nie chodzi ani o cykutę, ani o Ateńczyków, którzy się w porę nie połapali z kim mają do czynienia — ani w ogóle o żadną z tych wielkich rzeczy.

Idzie po prostu o to, że Ksantypa niełatwe miała życie przy boku nieustannie medytującego męża, że w domu piszczała bida, — że Sokrates mimo, iż zdobył znaczenie w filozofii, to przecież unieszczęśliwił kobietę, więc tej kobiecie należy się życzliwa pamięć potomnych. Taka mniej więcej jest treść dramatu Ludwika Hieronima Morstina, który można obejrzeć w Teatrze 7.15.

Dramat ma tytuł „Obrona Ksantypy" — ale nie znaczy to, aby autor ograniczył się do rehablitacji sokratesowej żony. Przeciwnie: temat „Sokrates na codzień" daje Morstinowi asumpt do zasadniczych uogólnień. Tak więc w sztuce sporo słusznych uwag, takich chociażby, że między sofistyką a gzymsem domu istnieje wyraźna różnica, że co innego „daimonion" a co innego nowy płaszcz, że gnoseologia i prowadzenie gospodarstwa wymagają odmiennych zgoła talentów, że w końcu filozofia-filozofią, a dzieci — dzieci. W sumie: zamaszysty, staropolski ukłon wobec wszystkich żon wielkich ludzi, które na pewno warte były lepszych partii. To jest szarmanckie i miłe. Tak, ale co ma z tym począć reżyser? Bo sztuka Morstina miesza w swoich trzech aktach najróżnorodniejsze konwencje sceniczne. Od niemych partii dla znakomitego aktora (chociażby taniec Sokratesa), poprzez melodramatyczne dialogi i monologi, aż po scenki z humorkiem nie tyle wodewilowym, co clownowskim.

I, jeśli to się wszystko jakoś „kupy trzyma", to wielka w tym zasługa Jerzego Antczaka i Janusza Kłosińskiego, którzy już nic innego — poza rezygnacją — uczynić tu nie mogli. Stanowczo Platon w „Obronie Sokratesa" bardziej był wyrozumiały dla przyszłych inscenizatorów, aniżeli Morstin w „Obronie Ksantypy".

Skoro mowa o kłopotach reżyserów — to i sam teatr musiał ich niemało przysporzyć. Trudno bowiem o większą różnorodność kwalifikacji aktorskich. Widz odnosi wrażenie, że na ten właśnie wieczór zgromadzono na scenie aktorów z teatrów najrozmaitszej rangi. Bo, oprócz ról, których nie będę przepisywał z programu, jest przecież tutaj Janusz Kłosiński, o którym trudno nie myśleć, że chciałoby się go zobaczyć także w „Obronie Sokratesa" i Gustaw Lutkiewicz i Joanna Jedlewska (trzeba jej chyba dobrze wróżyć) i Dobrosław Mater — i wreszcie Jadwiga Andrzejewska jako Ksantypa.

Dekoracje Henri Poulaina, w sposób umowny określają miejsce akcji. Ale do tego typu scenografii widz przywykł i wystarcza mu parę elementów plastycznych na scenie, aby już automatycznie wejść w „widzenie" sytuacji. Natomiast nie sposób — nawet przy pełnych obrotach wyobraźni — wystawić sobie, aby Charmides (Bohdan Mikuć) porzucał Joannę Jedlewską (Miryma) dla Jadwigi Andrzejewskiej (Ksantypa), mimo, że wkłada ona w swoją rolę maximum dobrej woli.

Niestety, w miłości prawa wieku także się liczą. Na tym — powodowani życzliwością dla teatru — kończymy opis naszych wrażeń.

Uważny Czytelniku!

Skoro zauważyłeś studiując poprzedni numer „Odgłosów", że pismo „przemeblowało się", wprowadziło nowe rubryki i tak dalej i tak dalej, to nie mogło również ujść Twojej uwagi, iż i my rozprzestrzeniliśmy się, zajmując na sprawy telewizyjne pełną kolumnę druku.

Jest to poniekąd sprawiedliwe, kiedy się zważy, iż TV dotrzymała wreszcie słowa i zlikwidowała „martwe wtorki" — obszerniejszy program wymaga obszerniejszych omówień.

Ale właśnie — czy omówień? Zapewne, na kolumnie telewizyjnej powinny znaleźć się omówienia ciekawych audycji, zapowiedzi, wywiady, ciekawostki, propozycje — długo by zresztą wyliczać — ale c o p r z e d e w s z y s t k i m?

Może nam doradzisz, Czytelniku...

Powiedzmy, że oglądałeś w czwartek „Kobrę" i — rzecz jasna — wyrobiłeś sobie na jej temat jakąś opinię. Czy wobec tego interesuje cię po tygodniu porównanie twojej opinii z naszą, czy też raczej zadowolił cię kilka zdjęć, po prostu dla przypomnienia? Ale za to, gdy — powiedzmy — Łódź będzie nową „Kobrę" szykować, może chcesz informacji wcześniejszych, danych obsadowych, określenia charakteru widowiska, jego tematyki?

Podobnie przy koncertach estradowych, widowiskach Teatru Telewizji itp.?

A sylwetki popularnych aktorów telewizyjnych, ilustrowane zdjęciami, obszerne — co o nich sądzisz? A dane techniczne, dokładne objaśnienie techniki play-backu, odwróconej projekcji, nakładania się obrazu?

Zapewne, na wszystkie te formy znajdzie się miejsce na naszej kolumnie, ale jakieś musimy przecież faworyzować. Jakie?

Czekamy na listy — chcielibyśmy przecież robić tę kolumnę ku twojemu, Czytelniku zadowoleniu.

Ryzykowna „Kobra"

Porucznik: B. Sochnacki, Szejba: J. Kłosiński.
Fot: W. Rozmysłowicz

Pozytywnym objawem jest to, że w tematyce teatru sensacji „Kobra" sięgamy do współczesności nie angielskiej a polskiej. Stało się już bowiem zwyczajem, że akcja każdego widowiska toczy się w kraju gdzie obowiązuje język angielski i takież są nazwiska bohaterów. Nawet jeśli te sztuki piszą polscy autorzy. „Kobra" może mieć jednak do spełnienia poważną rolę, taką jaką spełnia dobrze napisana powieść kryminalna; może być groźnym memento dla środowisk przestępczych. „Kurier Polski" zapowiada właśnie druk powieści sensacyjnej pt. „Malwersanci". Rzecz będzie dotyczyła przestępstw gospodarczych. Trudno odmówić takiej powieści społecznego wydźwięku, roli demaskatorskiej i wychowawczej. Czwartkowa „Kobra" opowiadała wprawdzie o dość dziwnym i chyba nie bardzo współczesnym środowisku bandycko-kasiarskim (dziś już ten fach nie w modzie, bo pieniążki leżą w dobrze strzeżonych bankach) ale pierwszy krok został zrobiony. Uczyniono go z całym rozmachem i spektakl wypadłby chyba nieźle, gdyby nie ryzykowna dość pointa widowiska. Oto porucznik MO, prowadzący śledztwo, wzruszony opowieścią starego kasiarza Szajby pozwala mu (świadomie pozwala!) zażyć cjanek potasu. Pointa, przyznajmy, i efektowna i niespodziewana. Za to współczujemy porucznikowi, którego zapewne parę lat więzienia nie minie za niedopełnienie obowiązków w czasie prowadzenia śledztwa. Historia z tą trucizną, którą na wszelki wypadek nosi przy sobie zwykły kasiarz by się w razie czego otruć, też wydaje się „dęta". Von Bach — Żelewski mógł, gdy się bał radzieckich partyzantów, Georing mógł... ale prosty kasiarz?

Gdyby poddać spektakl szczegółowszej analizie, można by się jeszcze czepiać języka (bo był gazetowy). Początek zawsze jest trudny. A kiedy się uda, wróży niewątpliwie dobrą przyszłość.

Teatr Sensacji „Kobra", „Kryptonim Rudy" J. Janczur i H. Jakubczyk.

Nudy, ale...

Sobota, podobnie zresztą i niedziela, nie były — jak sądzimy — najciekawszymi dniami w telewizji. Ale...

W sobotę oglądaliśmy koncert rozrywkowy nadany z Budapesztu; zresztą chyba udany. I tam — o dziwo! — słyszeliśmy w zapowiedziach: „Znana kompozytorka X. napisała tę piosenkę dla młodej piosenkarki Y...".

— Cóż w tym dziwnego? — pytacie. — Przecież na całym świecie piosenki powstają w typowym układzie: kompozytor — autor (tekściarz) — wykonawca...

Na całym świecie — tak! Ale raczej nie u nas. U nas monopol na tzw. „wylansowanie" piosenki ma wyłącznie radio i choć może nie robi tego najgorzej, to jednak ż a d n a monopolistyczna dyktatura nie wydaje się nam ideałem.

Stąd sugestia, aby telewizja lansowała w ł a s n e piosenki, i to piosenki pisane dla określonego wykonawcy; choćby dla przeciwwagi tylko.

Za tydzień spróbujemy zresztą ściślej sprecyzować nasze stanowisko w tej sprawie.

MATYLDA i MY

Dziś w czwartek o godzinie 18, z Łodzi w programie ogólnopolskim nadana będzie audycja młodzieżowa przygotowana przez red. Zbigniewa Chylińskiego pt. „Matylda i my". Będzie to spotkanie reżysera Janusza Nasfetera z rówieśniczkami bohaterek filmu „Kolorowe pończochy".

Z zadowoleniem...

Z zadowoleniem oglądaliśmy nie tak dawno widowisko kukiełkowe pióra Antoniego Marianowicza na temat wody, mycia, ablucji, niechęci narodowej do tych rzeczy i tragicznych dla dziejów skutków stąd wynikających. Powiadamy „z zadowoleniem", a nie dajmy na to „z zachwytem" ponieważ wydaje się, że szorowanie naszej historii szczotką ryżową i to bez mydła, nieco za często ma miejsce i w końcu staje się czynnością i nużącą i nie popularną. Jeśli tekst jest zgrabny, kukiełki śmieszne, a sytuacje dowcipne, zdoła takie „łaźniowe" widowisko wywołać co najwyżej zadowolenie widza. To i tak dużo.

Fot: W. M

Chodzimy dumni, *czyli* jeszcze o postaciach telewizyjnych

Spotkał mnie reżyser telewizyjny J. Spotkał, vopatrz podejrzliwie zza okularów i pyta:

— Słuchaj, czy nie widziałeś się ostatnio z dyrektor Orłowskim?

— Nie. A bo co?

— A z dyrektorem Szustrem?

— Też nie.

— Hm...

Zadumał się poczciwy reżyser J. i powiada:

— Bo widzisz, ten tego, to co pisałeś o postaciach telewizyjnych, to myśmy właśnie, nieprawdaż, dyskutowali. N wet nazwiska padły prawie że te same, no, myśleliśmy je cze o Karewiczu, o Modrzyńskiej... Ale że myśmy tylko d kutowali, a tyś to napisał, więc teraz możesz biegać po dzi i wołać „Ja pieeeerwszy...".

Żal mi się go zrobiło. Wspiąłem się na palce, poklepa go po ramieniu i obiecałem, że się do wszystkiego przyzna

Ale o tych postaciach to warto sobie może jeszcze po dać, bo rzecz nie jest do końca prosta. Tu trzeba pomy szczegółowego, trzeba idei. W dotychczasowej praktyce lewizyjnej mamy bodaj dwie tylko takie jednoznacznie us wione postacie (oczywiście w wymiarach koncertów rozry kowych, bo ponadto jest przecież Wicherek, jest Dzied cówna itd.) — są też Starsi Panowie z „Kabaretu Starsz Panów".

W radio, przez analogię, takimi postaciami byli bohate wie Teatru „Eterek" — profesor Pęduszko, Mundzio, Eu mia... Wiedzieliśmy o nich niemalże wszystko, znaliśmy stosunek do świata, ich usposobienie, charakter.

Wiadomo, że Starszych Panów można bezkarnie nabr że są dobroduszni, pogodni, naiwni. Ale już inni, choć ró nież stali, wykonawcy z „Kabaretu Starszych Panów", to Kalina Jędrusik, jak to Gołas, Dziewoński, Michnikows Czechowicz — stwarzają za każdym razem nowe postac odmienne. Podobnie w takim „Buffo" — są tam stali akt rzy, ale inna jest za każdym razem Janowska i inne p senki śpiewa Skarżanka.

Więc jak? Czy stały zespół i tylko stały zespół, czy st zespół, a w nim dwie, trzy określone p o s t a c i e. A jes postacie — to jakie? Kim mógłby być Ludwik Benoit? Mo (występował kiedyś w takiej roli) łagodnym, wyrozumiał czarodziejem?

Nie, nie mam zamiaru zabierać chleba p. p. autorom, serdecznie namawiam ich na coś niezwykłego, cudownego coś co pozwoliłoby w pełni wykorzystać trickowe możliw ści telewizji. Osobiście lubię tricki — dostaliśmy cudow techniczną zabawkę, jaką jest telewizja, więc się nią, nowie, bawmy.

Można jeszcze inaczej — wymyślić nie jedną, a dzies określonych postaci, wpakować do programu, wymieszać i kazawszy zapytać telewidzów, z kim chcieliby zawrzeć st znajomość?...

Sposobów jest dużo i każdy może okazać się dobry, ty że to trzeba robić szybko, bo lato przyjdzie, a z nim ogór rzecz uschnie.

Ale, ale... Skoro już tak dobrze idzie, przypominam o kimś zespoliku, nazwijmy rzecz po imieniu, girls. Nie chc cie popularyzować tańca klasycznego — trudno, wasza wo spróbujmy jednak robić przynajmniej coś z krainy rewii.

Powiem w tajemnicy — prof. Parnell jest dużym ma strem od tych spraw i miał z nimi niejednokrotnie w swoi życiu do czynienia, tak że na pewno się nie obrazi, gdy d niego i do jego tancerzy telewizja odwoła.

Mając taki zespół ś c i ś l e z telewizją związany, możn i ambitniej ustawiać tańce i dokładniej je wypróbować, u kadrować po prostu co do centymetra. A to się liczy, bardzo ozdabia każdy rozrywkowy program...

JERZY PANASEWICZ

Program telewizyjny na najbliższe dni

Uważamy, że za mało jest programów których bohaterami są zwierzęta

23.II.61 — Czwartek 12.00 Międzynarodowe zawody narciarskie o Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. Sprawozdanie z Zakopanego (skoki do kombinacji) (K). 14.00 P r z e r w a 17.15 Program dla dzieci: 1) Podróż po świecie, 2) Film krótkometrażowy, 3) „Guzik z pętelką" (W). 17.50 PKF. (W). 18.00 Młodzieżowy Klub Telewizyjny (Ł) ogólnopolski 18.45 Program publicystyczny (Ł) lok. 19.00 Program muzyczny — koncert chopinowski (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Fakty i poglądy" program publicystyczny (W). 20.35 Teatr „Kobra" „Mały skórzany woreczek" widow. sensac. wg. Joe Alexa (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

24.II.61 — Piątek 10.00 Międzynarodowe Zawody Narciarskie o Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. Sprawozdanie z Zakopanego (biegi 10 i 15 km. (K). 12.30 P r z e r w a 18.00 Wszechnica Tv program z cyklu: „Wszechświat, w którym żyjemy" program pt. „Metalurgia dziś i jutro" (K). 18.30 „Książe Limeryku" film telewizyjny prod. ang. z serii „Przygody Sir Lancelota" (W). 19.00 Rozmowa z literatem Zbigniewem Pieńkowskim (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Osiedle dla dorosłych" program dyskusyjny (W). 20.30 „Świat tancerza" film krótkometrażowy prod. ameryk. (W).

25.II.61 — Sobota 12.00 Międzynarodowe Zawody Narciarskie o Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. Sprawozdanie z Zakopanego (I seria konkursu skoków otwartych) (K). 14.00 P r z e r w a 17.30 Program tygodnia (W). 17.45 Program tygodnia (Ł). lok. 17.50 Film krótkometrażowy prod. polskiej „O dziatkach niejadkach" dla dzieci (Ł). lok. 18.05 „List z tamtego świata" widowisko TV dla dzieci wg Kornela Makuszyńskiego 19.05 „Na wrocławskiej ziemi" film krótkometr. prod. polskiej (W). 19.15 „Paragraf i fajka" (W). 20.00 „Pamiętny dzień" filmu fab. prod. ang. (W).

26.II.61 — Niedziela 11.45 Łódzka Kronika Filmowa (Ł) lok. 12.00 Międzynarodowe Zawody Narciarskie w Zakopanem o Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. Sprawozdanie z Zakopanego. II seria konkursu skoków otwartych (K). 14.00 P r z e r w a 14.00 Niedzielna Biesiada (W). 16.10 Program dla dzieci „Teatrzyk w koszu" 16.50 „Urodziny Kaczora Donalda" film z serii Disneyland (W). 17.40 Piosenki plebiscytu — program rozrywkowy (W). 18.25 „Szukamy fenomenów pamięci" teleturniej (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.15 „Miasto bezprawia" film fab. prod. USA (W). 21.45 Film krótkometr. „Pierwsza balowa sukienka" prod. polskiej (Ł). lok. 22.00 Międzynarodowe Zawody Narciarskie o Memoriał Bronisława Czecha i Heleny Marusarzówny. Reportaż z Zakopanego (K).

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 344-19 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" O Druk: RSW Prasa" — Łódź, Żwirki 11. O Zam. 694. II. 1961 r. I-4

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O wysłaniu przez Związek Radziecki rakiety w kierunku Wenus powiedzieli nam:

Stefan Szymczak, dyrektor Szkoły Podstawowej i Liceum nr XXVIII.

„Nasz czas jest wiekiem uczonych. Uważam, że wysłanie rakiety na Wenus jest wielkim osiągnięciem uczonych radzieckich, osiągnięciem ważnym dla całego świata. Wśród uczniów mojej szkoły istnieje wielkie zainteresowanie „problemami kosmicznymi" — rakietami, sputnikami — czytają o tym i często o to pytają. Myślę, że przedstawiciele tego pokolenia będą już latali w kosmos — jeszcze nie masowo, oczywiście, ale jednostki.

Elżbieta Wiewiórkowska, studentka.

To jest na pewno wielka rzecz. Rozgrywa się coś, co dawniej wkładano między baśnie i opowieści fantastyczne. Myślę, że niewielu jest ludzi na całym globie ziemskim, którzy by nie słyszeli o fakcie wysłania rakiety na Wenus. Czy człowiek niedługo poleci w kosmos? Chyba tak, choć naprawdę trudno w to uwierzyć.

Bufetowa kawiarni „Łowicka".

Proszę pana, ja się nie orientuję. Musi pan porozmawiać z kierowniczką.

Rozmawiał: MAW

informacje i zaczepki

W salonie wystawowym CBWA przy ul. Piotrkowskiej eksponowana jest interesująca wystawa rzeźby, ceramiki i malarstwa łódzkiego plastyka Wacława Kondka. ★ Ubiegły rok zamknął się dla pewnego łódzkiego pisarza bilansem 150 wieczorów autorskich, co, zważywszy na pracę zawodową i twórczą, jest wyczynem bez mała heroicznym. ★ Teresa Wojtaszek z Łodzi zdobyła drugiej miejsce na V Ogólnopolskim Konkursie Śpiewaczym w Filharmonii Narodowej w Warszawie. ★ W minionym roku sprzedano w woj. łódzkim 3.000 reprodukcji malarstwa, co daje w przybliżeniu jeden obraz na około 600 osób. ★ Warszawskie „Kulisy" podają, że w jednym z łódzkich domów akademickich wyniesiono z pokoju na korytarz łóżko studentki, która nie chodziła do kościoła. ★ Zjazd Młodych Pisarzy Prowincji, jaki niedawno odbywał się w Łodzi upłynął bez alkoholowo - rękoczynowych rozróbek ponieważ — jak twierdzą wtajemniczeni — środowisko warszawskie reprezentowane było w ilości minimalnej. ★ W ciągu doby łodzianie przeprowadzają około 10 tys. rozmów telefonicznych z rozmówcami w kraju i za granicą. ★ Niedawno „Dziennik Łódzki" podał przeraźliwie smutną informację o niszczeniu w zbiornicach makulatury setek wartościowych książek; ciekawi nas jakie w końcu stanowisko zajęły władze w tej skandalicznej sprawie przeznaczonych na przemiał „białych kruków". ★ 35 lat w zawodzie dziennikarskim pracuje odznaczony niedawno Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski łódzki dziennikarz redaktor Mieczysław Jagoszewski. ★ Mieszkańcy Łodzi wydają miesięcznie na usługi gastronomiczne ponad 20 milionów złotych z czego połowa przypada na napoje alkoholowe. ★ W przedstawionym na ostatniej Sesji Sejmowej projekcie nowej pięciolatki mówi się między innymi o zbudowaniu w Łodzi do roku 1965 około 80 tysięcy nowych izb, oraz przydziale 120 wagonów tramwajowych i 77 autobusów.

JUŻ za tydzień

podamy tytuł naszej powieści kryminalnej

zajrzyj wtedy na stronę 14

Najostrzejsze ołówki świata

NOBERT

Istotą komizmu klownów jest odrzucenie konwenansów, wyzbycie się wszelkiej pozy, bezkarne łamanie świętego prawa nietykalności osobistej, absolutna szczerość odruchów i uczuć. Błazen obnaża w czystej formie wszystkie nasze kompleksy i obawy; dopóki pozostaje na arenie — rodzi w nas świadomość przewagi, wyższości. Ta satysfakcja wyzwala śmiech najbardziej szczery żywiołowy — i niewielu doprawdy ludzi kwituje błazenadę ponurym wzruszeniem ramion. Co nie oznacza, że głupi August reprezentuje sztukę łatwą, często mierni adepci są po prostu trywialni — ale mamy też artystów tej miary co Szwajcar Grock i Rosjanin Popow.

Dziwne, że właściwie tak niewielu karykaturzystów korzysta z wiekowych doświadczeń błazenady, upowszechnionych później przez filmową groteskę „slap-stickową". W USA konsekwentnie podtrzymują ten rodzaj Tom Henderson i Clyde Lamb, w Europie — chyba jedyny Nobert, rysownik z NRF.

Oczywiście — dowcipy Noberta nie dzieją się na cyrkowej arenie, nie ma w nich facetów w za dużych spodniach i maleńkich kapelusikach. Pozostał jednak mechanizm dowcipu, pozostały rekwizyty — farba rozmazana na twarzy, rozbite zegarki...

Jest ponadto u Noberta jeszcze coś więcej, niż odtworzenie na rysunku cyrkowego gagu. Klowanada służy tu przedstawieniu tępoty i przeraźliwej naiwności niemieckich „strasznych" mieszczan" spod znaku „Kinder, Kirche, Küche"...

(JERT)

Nigdy nie chciałam mieszkać w narożnym domu...

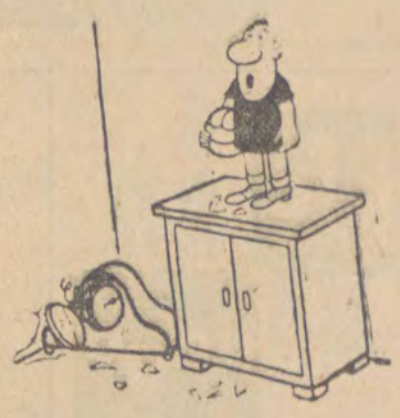

„Bim bam, bim bam, bim bam"!

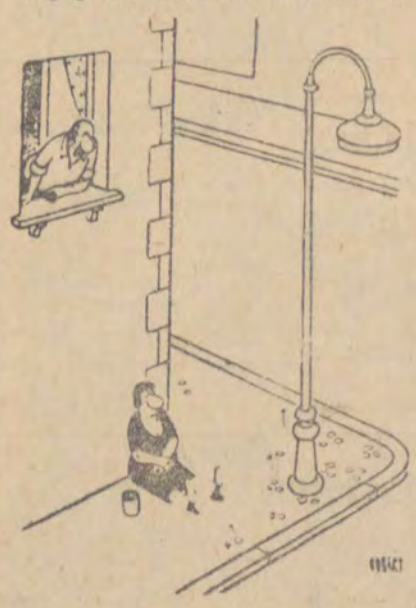

Powiedz wreszcie, ile ci trzeba na domowe wydatki?

Przestań kichać, jak ci daję jagody!

ROZMOWY z czytelnikami

Nasz czytelnik p. Tadeusz Woch z Drużbic w pow. bełchatowskim pisze:

„PANIE REDAKTORZE!

Dużo piszecie o kulturze, szpalty prawie wszystkich gazet w Polsce podają sposoby i systemy tworzenia i prowadzenia kultury dla wsi i miasta. Nasza wioska leży tylko o 40 km od Łodzi, na asfaltowej szosie Łódź-Radomsko. Cicha spokojna wieś o dużych aspiracjach, ale biedna. Kultura przypomina tu czasy cara Mikołaja. Drużbice posiadają dużą świetlicę odremontowaną w grudniu 1960 r. Odbywają się w niej dobrze zakrapiane zabawy dochodowe. Telewizor za 9 tys. zł stoi popsuty, a kupiony został w końcu grudnia ub. r. Kierownikiem świetlicy jest sprzątaczka. Biblioteka gromadzka jest dość duża, ale w okresie zimowym, w czasie największego nasilenia czytelnictwa bibliotekarce udzielono urlopu i bibliotekę zamknięto na klucz. Jest tu jeszcze gospoda, dawniej karczma. Tu zawsze pełno — od siedemnastolatków do sześćdziesięciolatków. Szczególnie ciekawy jest wtorek — dzień targowy. Biedni rolnicy jak w toto-lotka zamieniają dziesiątki na „setki", w gospodzie większy ścisk jak na Piotrkowskiej w czasie 1-Majowej defilady. Wpadnijcie do nas redaktorze, zobaczcie i udzielcie pomocy i rady chłopom zakrapiającym sobie pały czystą a nawet samogonem lokalnej produkcji. Telewizor, biblioteka i świetlica czekają na swojego Kolumba i majstra od zdrowej kultury".

* * *

Być może, że zbyt mało uwagi poświęcaliśmy dotąd wsi i problemom jej kultury. Postaramy się w najbliższym czasie poprawić ten stan rzeczy. Oczywiście, w pierwszej kolejności zainteresujemy się Drużbicami.

ZAGADKA TYGODNIA

DZIŚ: ZAGADKI GEOGRAFICZNE:

Jakie państwo posiada obecnie największe posiadłości kolonialne:

a) Portugalia
b) Wielka Brytania
c) Francja

Jakie państwo w Afryce jest największe pod względem liczby ludności:

a) Nigeria
b) Kongo
c) Unia Południowo-Afrykańska

Rozwiązanie wyłącznie na kartkach pocztowych prosimy nadsyłać w terminie tygodnia. Między Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania wylosowane będą nagrody książkowe.

poczta literacka

Pan J. Bayk, Łódź.

Uważa się Pan za „wrażliwego i trzeźwego odbiorcę" młodej poezji polskiej i w związku z tym posądza Pan awangardowych twórców o schizofrenię. Dziękując w imieniu wszystkich młodych poetów za ten pochlebny epitet gratulujemy trzeźwości sądu. My też czasami tak sądzimy. Tylko niech Pan, na miłość Boską, sam nie zaczyna pisać wierszy!

Pan L. Pest, Łódź.

Przysłał Pan wiersze 18-letniego chłopca z prośbą o wydrukowanie. Nie wydrukujemy. Nie ma Pan racji — chłopiec nie umie wytworzyć w wierszu oryginalnego nastroju, nic też nie wskazuje na to, że ma talent. Natomiast praktyka życiowa wskazuje, że chłopcy po przekroczeniu 18 roku życia przestają pisać. Czemu serdecznie życzymy — Panu i chłopcu.

Pan B. Blasz, Łódź.

Mimo najszczerszych chęci nie udało nam się wyobrazić „Serenady kipiącego serca" ani „Opłatania ustami symboli wypychanych z wiersza" oraz wielu jeszcze innych zwrotów. Nie skorzystamy.

Nasza KRZYŻÓWKA

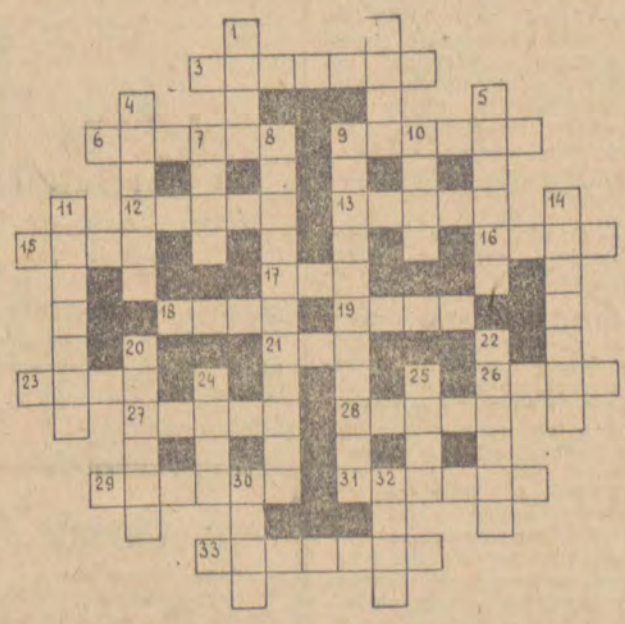

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 3) Aromatyczny napój, 6) Estrada, podwyższenie, 9) Anglia, 12) Koło, 13) Słowa w utworze muzycznym, 15) Zwierzątko lub narzędzie do przebrowadzania kanalików służących do drenowania, 16) Chwast, 17) Rodzaj sieci, 18) Instrument dęty drewniany, 19) Taniec, 21) Długi okres czasu, 23) Żywność, 26) Grubas, 27) Gryzoń brazylijski lub peruwiański, 28) Symbol doskonałości, 29) Szmer, szum niezbyt donośny, 31) Warsztat pracy i środek lokomocji flisaka, 33) Liryczny utwór wokalno-instrumentalny.

Pionowo — 1) Jadłospis, 2) Barok, rokoko, gotyk itp., 4) Dzień tygodnia, 5) Tytuł naukowy, 7) Jest w śledziu, ale nie w każdym, 8) Dyplom akademicki, 9) Sklep z cennymi zabytkami przeszłości, 10) Dyscyplina sportu, 11) Autorytet, 14) Wysłannik, 20) Elektroda nieruchoma kondensatora obrotowego, 22) Jedna druga, 24) Pył, 25) Wykwintna gruszka, 30) Planeta lubi pierwiastek promieniotwórczy, 32) Roślina zielna aromatyczna o żółtych kwiatkach.

Termin nadsyłania rozwiązań 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z n-ru 50.

Poziomo — doktorat, polon, Eliza, wiec, nokturn, parkan, brokat, sprawca, Raul, Łęcki, Irena, luminarz.

Pionowo — konwersatorium, Rzeczpospolita, Robak, szpak, Hannibal, kontrast, tłok, Róża, okręt, wrona.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Janina Olkiewicz, Łódź, ul. Różyckiego 10 m. 4

2. Zdzisław Śnieć, Łódź, ul. Łagodna 32.

TADEUSZ GICGIER

POCIECHA

Per aspera ad astra —
zwykł mawiać pewien kastrat.

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

kto kogo

Anna Przybylak w 1958 roku przeszła bardzo poważną operację serca. Po operacji, kiedy leżała w domu, mąż opiekował się nią w ten sposób, że do jedzenia przynosił łęciny kartoflane. Kiedy uratowanej przez lekarzy kobiecinie władze miejskie przyznały mieszkanie odpowiednie dla stanu zdrowia, mąż przepisał je na siebie w Wydz. Spraw Lokalowych DRN-Górna, komunikując, że żona jest niepoczytalna i znajduje się w Kochanówce. Zaskarżony wydział mieszkaniowy oświadczył Annie Przybylak, że mąż, jako mąż, miał to prawo robić (!?). Nowy właściciel mieszkania zaczął używać teraz na całego. Wniósł sprawę o rozwód, używając argumentów... pięści wobec żony. W 1959 roku rozwód otrzymał. Zmaltretowana i szantażowana żona przyjęła dla spokoju winę na siebie. Ale spokoju nie zaznała. W ciągu dwóch lat 16 razy skarżona była przez ex-męża za czyny, których nigdy nie popełniła i zostawała zawsze uniewinniona. Ponieważ jedynym wyzwoleniem było odejście od męża, załatwiła zamianę mieszkania zaakceptowaną przez kwaterunek, mimo sprzeciwu Przybylaka, który złożył oświadczenie, że nie zgadza się na ustąpienie z mieszkania.

Miejska Komisja Lokalowa przy Prez. RN m. Łodzi (nr spr. 161/60), wydała decyzję na zamianę pokoju A. Przybylakowej (jednego z dwóch w mieszkaniu, zajmowanym z M. Przybylakiem przy ul. Obywatelskiej 5) na pokój przy ul. Polnej 17. Dotychczasowa właścicielka pokoju przeniosła się na ul. Obywatelską.

Rozjuszony tym Przybylak zdemolował mieszkanie, powykręcał zamki i nie chciał wpuścić nowej lokatorki. Wprowadził ją administrator.

Na tym nie koniec. Przybylak nie wiadomo jakimi drogami uzyskał unieważnienie decyzji Komisji Lokalowej i oto Anna Przybylak dostaje pismo od Kolegium do Spraw Lokalowych (LK Kol. — 1/177/60), unieważniające poprzednią decyzję z uzasadnieniem, że zamianą może być objęta całość mieszkania, na dwie jednostki kwaterunkowe. Ten iście salomonowy wyrok oznacza w praktyce powrót rozwiedzionej od dwóch lat Anny P. do ex-męża. A on, na wszelki wypadek, bije lokatorkę i jej matkę, milicja interweniuje, sprawy do Kolegium Karnego nie trafiają i Przybylak kpi sobie z władzy, praworządności i oświadcza, że tak długo będzie skarżyć Annę Przybylak, aż ta... „zdechnie na ulicy". Całość brzmi mało prawdopodobnie.

Zainteresowani mogą obejrzeć dokumentacje określającą stosunek Przybylaka do ex-żony, nowej lokatorki, do władz, stosunek władz do Przybylaka, czas poświęcony przez sąd dla pieniacza itp. Nowe oskarżenie przeciwko Anie P. jest znowu w sądzie.

PS.: Przybylak wniósł także sprawę o rozwód kościelny. Anna P. nie chciała wyrazić zgody. Chyba jednak wyrazi, bo Kuria grozi jej... piekłem. Amen.

Efekty propagandy świadomego macierzyństwa?

W Łodzi spada ilość porodów. W 1957 r. 14.206 mieszkanek naszego miasta zostało pierwszy lub n-ty raz matkami. W 1958 — 13.327 pań otrzymało gratulacje z okazji powiększenia rodziny. W 1959 — już „tylko" 12.030, a w 1960 roku — 10.477.

Z roku na rok więcej położnic korzysta z łóżek szpitalnych i klinicznych. W 1957 roku 73 proc. porodów odbyło się w placówkach lecznictwa, a w ub. roku — 86 proc.

Galeria sprytnych ojców

33-letni HENRYK KOWALSKI uchyla się od płacenia 500 zł miesięcznie na dwoje dzieci od kwietnia ubiegłego roku.

42-letni KLEMENS NOWAKOWSKI pozostawił w 1954 roku żonę z trojgiem małych dzieci i wszelki ślad po nim zaginął.

38-letni WŁADYSŁAW DOMOLĄŻEK nie płaci alimentów od 1956 roku.

33-letni JAN TOKARSKI ma odpowiadać przed sądem za złośliwe uchylanie się od płacenia alimentów. Rozprawa przeciwko niemu nie może się odbyć, ponieważ milicja jeszcze go nie znalazła.

c. d. n.

Roztropny bobas

Z „kinderbalu" dla dzieci łódzkich dziennikarzy: czteroletni syn jednego ze znanych publicystów „Głosu Robotniczego" na pytanie w „zgaduj-zgaduli" — „Jakie znasz samochody?", odpowiedział: SŁUŻBOWE I PRAWDZIWE...

Taka sobie willa

Pan Wacław W. posiada w Łodzi, przy ul. Tkackiej, nowoczesną, luksusową willę z podziemnym garażem, której koszt budowy oceniają zorientowani w budownictwie prywatnym, na skromną sumę 2 milionów złotych.

P. W. pełnił przed laty odpowiedzialną funkcję magazyniera w pewnych zakładach mięsnych.

Profilaktyczna konspiracja

Działalność oddziału łódzkiego Polskiego Towarzystwa Medycyny Sądowej i Kryminologii cieszy się zainteresowaniem społeczeństwa. Odczyty urządzane przez to Towarzystwo ściągają z reguły liczną publiczność. Przedostatni odczyt pt. **„Przestępczość psychopatów"** szeroko anonsowany w prasie ściągnął takie tłumy bezpośrednio zainteresowanych, że nastąpiło zakłócenie naukowego charakteru posiedzenia.

Ostatnie posiedzenie profilaktycznie nie zostało zapowiedziane w prasie i odbyło się w niejakiej konspiracji.

Z egzaminu trenerów

W zdrowym ciele...

— Proszę pana! Silniki samochodowe poruszane są mieszanką benzynową. Co porusza organizm człowieka? Chwila zastanowienia i zdecydowana odpowiedź:

— Powietrze.

— Co sprawia, że człowiek może zginać rękę w łokciu?

— Przerwa między kościami...

— Przed zawodami trener przeprowadza ze swymi piłkarzami ćwiczenia noszące ogólną nazwę „rozgrzewki". Czy, gdyby panowała temperatura 30° Celsjusza, przeprowadziłby pan ze swoją drużyną rozgrzewkę?

— O nie, byliby już dostatecznie rozgrzani słońcem.

Przerażeni takimi rewelacjami egzaminatorzy szybko szukali ratunku w zakresie czysto fachowych zagadnień. Ale i tu przygotowanie instruktorów nie mogło wzbudzić entuzjazmu.

Powoli zaczynają się odkrywać źródła cherlactwa futbolu, wywołującego rozpacz kibiców. Władze sportowe nie mogąc się pochwalić inwencją w poszukiwaniu środków szkoleniowych, odznaczają się przynajmniej żelazną konsekwencją. Wszyscy egzaminowani instruktorzy otrzymali przedłużenie prawa nauczania młodzieży nieskomplikowanej gry w piłkę.

mały rocznik statystyczny

Równouprawnienie

Według rocznika statystycznego GUS za rok 1960 w składzie Sejmu II kadencji (1957—1960) znajduje się 4,1 proc. kobiet. Na ogólną liczbę 205.044 radnych w kraju, kobiety stanowią 5,8 proc. W prezydiach rad narodowych różnych szczebli procent kobiet wynosi — 1,9.

Lekarze na obywateli

W 1937 r. Łódź miała 568 lekarzy, obecnie ma ich 1.603. Znaczy to, że 1 lekarz przypada na 450 mieszkańców, podczas gdy przed wojną stosunek ten wynosił 1 lekarz na 1220 obywateli Łodzi.

Chciała być gwiazdą...

Ładna, miła 17-letnia Bożena N. po szkole podstawowej zadebiutowała jako statystka w jednym z filmów. Dziewczynie przewróciło się w głowie, tym bardziej, że matka, z zawodu sprzątaczka, była w nią zapatrzona jak w bóstwo.

Matce mówiła, że jedzie z filmowcami „na plenery", faktycznie przesiadywała z gośćmi w kawiarniach lub w Grand-Hotelu. Teraz zawodowo uprawia nierząd, a ostatnio skradła matce pieniądze.

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW"

JOANNA SZCZERBICÓWNA

Fot.: A. Kondratiuk

Kareta contra kolor

Przy ul. Bystrzyckiej, w jednym z męskich „akademików", w dniu wypłaty stypendium.

Stolik nakryty gazetami, zaduch i dym z papierosów. Poker. Gra czterech. Wieczór.

Student M. wziął 450 zł. stypendium.

Student S. wziął 450 zł. stypendium.

Student K. nie otrzymuje stypendium, pomagają rodzice.

Student W. nie zaliczył egzaminów, zatrzymano stypendium.

K. przegrał w ciągu godziny wszystkie pieniądze. Zostało trzech. M. otrzymał „kolor" z ręki, jest pewien wygranej. Partnerzy kupują po 3 karty. M. Przebija potrójnie zagrywkę. S nie dodaje, W. przebija jeszcze raz. M. dodaje ostatnie 200 złotych, sprawdza. Kolor trafia na karetę.

M. odchodzi bez pieniędzy. Pozostało dwóch. Dalej gra nie odobędzie się. Student M. i student K. mają przed sobą cały miesiąc pracy. Na życie, rozrywki, książki, pozostało 50 groszy.

W przyszłym miesiącu zaczynamy od nowa.

Fachowcy

Wypis z księgi meldunków dyspozytorni MPK — Łódź z dnia 12. II. br.:

„O godz. 20.15 kontroler Woźniak na Dworcu Kaliskim usiłował doprowadzić do komisariatu dwóch podróżnych, jadących bez biletu. W czasie szamotania się z nimi skradziono mu zegarek".

notujemy ceny

Przewiezienie zwłok na cmentarz — Miejskie Przedsiębiorstwo Pogrzebowe, — 180 zł, prywatne — 400 zł.

Cena trumny — „państwowa" 545 zł, „prywatna" — 1.500 zł.

Urządzenie całego pogrzebu — „sektor uspołeczniony" — 1.100 zł. „inicjatywa prywatna" — 3.000 zł.

Cena mogiły wg. „kolejności" — 150 zł, na specjalnie wybranym miejscu — 800 i więcej.

Socjologia półświatka

Na 1 stycznia 1960 r. wg danych MO było w Łodzi 450 zewidencjonowanych prostytutek lokalowych ulicznych. Na 1 stycznia 1961 r. przybyły dodatkowo 102. Stan bieżący: 552 córy Koryntu, w tym m. in. 17 nieletnich, 52 weteranki powyżej 40 lat oraz 162 w wieku przedbalzakowskim. Pochodzenie społeczne: inteligenckie — 18, robotnicze — 472, chłopskie — 62. Stan cywilny: panny — 326, mężatki — 42, wdowy — 25, rozwódki — 44, nie żyjące z mężem — 115.

Sytuacja rodzinna? 220 prostytutek a dzieci. W 68 przypadkach dzieci mieszkają razem z matkami uprawiającymi nierząd. Na wniosek MO skierowano do domów dziecka w r. ub. 123 dzieci prostytutek, 125 dzieci oddano na wychowanie innych osób. 357 córy Koryntu mieszka w Łodzi, 175 nie ma dachu nad głową, 20 dojeżdża z pobliskich miejscowości. Ich „sprawowanie się?" Za różne przestępstwa 15 odbywało karę w „poprawczakach", 264 w więzieniach.

C. d. n.